

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 8 LUTEGO 1930 ROKU

NR. 6

TREŚĆ NUMERU: Nad odmetem pracy — *Jadwiga Krawczyńska*. O propagandzie — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Żaleźność” — *Lucyna Krzemieniecka*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Moi niepoprawni — *Wanda Grabińska*. Bohaterowie miłosierdzia — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Z książek — *S. H.* Książki nadesłane do Redakcji. Z życia muzycznego — *P. L.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Więcej spokoju i pogody — *H. Latoszyńska*. O sukniach długich, krótkich i modzie wogóle wyjaśnienie fachowe — *Well*. O pielęgnowaniu roślin pokojowych w zimie — Inż. - ogr. *Marja Nagay'ówna*. Lęgi drobiu — *Z. Prażmowska*. Pani i służąca — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Tweed — *Well*. Dodatek powieściowy: „Jak, kochano przed stu laty” — *Giorgia Pisani* — autoryzowany przekład *Zuzanny Rabskiej*. Arkusz wzorów.

NAD ODMĘTEM PRACY

(O zwiększenie liczby inspektorek pracy)

Aby wykonać swoją dzienną pracę, robotnica, zatrudniona w cegielni, tak zwana „formiarka”, musi schylić się dziennie 4.500 razy.

Przódka w fabryce włókienniczej, która obsługuje dwa, a często cztery krosna mechaniczne, jest nieustannie w ruchu, biegając od jednego do drugiego krosna, i w ciągu 8-miu, często i 10-ciu godzin dziennie, nie ma czasu ani na chwilę usiąść. Niema zresztą nawet zydelków i w tych warsztatach fabrycznych, w których tok pracy pozwalałby robotnicy na chwilową zmianę pozycji stojącej.

Przy pewnych pracach fabrycznych robotnice pracują, stale stojąc w wodzie.

Przy wielu maszynach, lub przy mechanicznych zajęciach, polegających na zwijaniu, pakowaniu, stemplowaniu, przyszywaniu — pracujące kobiety siedzą bez ruchu w ciągu długich godzin pracy. Pochylone, zgarbione... Jedne pracują w zimnie, inne w upale i zaduchu sal!

Cóż dziwnego, że wychodzące z fabryk i warsztatów pracownice mają twarze blade, bezkrwiste, że nie zobaczy się ich uśmiechu, że nieraz tylko ponure, złe słowa z ust im lecą? Są znękanne, napół żywe, znużone i bez sił.

Idą do domów, przeważnie do nędznych mieszkań jednoizbowych, w których mieszczą się liczne rodziny, tak, że powrót z pracy do domu nie daje ani odpoczynku, ani wytchnienia.

Są również dość liczne wypadki, że robotnice fabryczne, mieszkając zdala od miejsca pracy, nie mogą codziennie do domu powracać i tylko raz na ty-

dzień, na niedzielę, idą pieszo milami, lub jadą koleją do swego ogniska domowego. Przez cały tydzień zaś sypiają w lokalach fabrycznych, bądź w masowo natłoczonych sypialniach, bądź nawet przy warsztacie pracy, na pryzkach lub na podłodze.

Robotnice-matki mają nadomiar na swych barakach troskę o gospodarstwo domowe, muszą po powrocie z pracy zarobkowej wykonać szereg zmudnych, ciężkich robót, gotować, szyc, prać i, bądź co bądź, popatrzeć czasem, co też robią dzieci i jak wyglądają.

Każde nowe dziecko jest — niestety — nową trwogą i troską. Przedewszystkiem trzeba ukrywać, że ma przyjść na świat, bo nuż wypowiedzą pracę?

Dopiero na 6 tygodni przed spodziewanym terminem urodzenia dziecka kobieta jest pod ochroną prawa, które nie pozwala pracodawcy na zwolnienie jej z pracy. Ma wtedy zabezpieczoną pomoc lekarską i świadczenia Kasy Chorych, urlop kilkotygodniowy na pierwszy okres macierzyństwa. Ale jeśli „przewidujący” pracodawca wcześniej się zorientuje, iż będzie musiał dać robotnicy urlop, i zechce uchylić się od nałożonego nań ustawowego obowiązku? Jeśli wypowie pracę na parę miesięcy lub tygodni przed owym terminem, kobieta zostaje pozbawiona pomocy w najkrytyczniejszych momentach. A nadużycia, czy raczej zwykany tego rodzaju często się zdarzają. Są też niezawodnie przyczyną, iż w obawie nędzy, robotnice, zagrożone utratą pracy, wolą pozbyć się widoków macierzyństwa.

To tylko bardzo ogólnikowy i błady szkic sytuacji, zarys dramatycznych warunków pracy robotniczych.

Kilka milionów kobiet pracuje w Polsce w przemyśle, rzemiośle i handlu w mniej więcej podobnych okolicznościach. Z tego w wielkim przemyśle około 200.000.

Te mają teoretycznie pewne przywileje: do nich odnoszą się bowiem postanowienia ustawy o ochronie pracy kobiet i młodocianych (2.VII.1924). Dzięki tym przepisom, robotnice wielkiego przemysłu mogą korzystać z szeregu urządzeń higienicznych przy pracy, z urlopów corocznych i macierzyńskich, ze świadczeń ubezpieczeniowych i emerytalnych, z Kas Chorych; mają wreszcie zastrzeżone dla swych niemowląt (w fabrykach, zatrudniających ponad 100 kobiet) żłobki, dożywianie i opiekę lekarsko-pielęgniarską.

Daleko jednak do tego, by paragrafy ustawy stały się rzeczywistością i wciąż jeszcze kobieta-robotnica jest żywiołem słabym i upośledzonym. Jej siły fizyczne, wążające w ciężkim trudzie, jej zahamowany rozwój umysłowy i duchowy stawiają ją w warunkach gorszych, niż robotnika-mężczyznę.

Wyzysk gospodarczy w zastosowaniu do kobiety jest o wiele bardziej jaskrawy, bardziej bezwzględny. Płace robotnic i pracownic fizycznych nie dosięgają minimum egzystencji ludzkiej, często są przez niesumiennych przedsiębiorców samowolnie, wbrew umowom, obrywane i uszczuplane. Warunki te z nieubłaganą fatalnością pogrążają kobietę w niewolnictwo, nędzę, upadek...

Kobiety w przemyśle zarabiają u nas przeciętnie 50—60% płacy robotników-mężczyzn, przy wykonywaniu tych samych prac. „Lżejsze” zatrudnienia kobiet są naogół fikcją. Natomiast w całej mocy utrzymuje się tragiczna krzywda absurdalnie niskich płac kobiecych.

Oto, na przykład, w przemyśle przędzalniczym, w 50% opartym na pracy kobiet, maksymalna płaca prządki dochodzi do 5.35 zł. dziennie, gdy przędzarka-mężczyzna za tę samą pracę otrzymuje 8.65 zł. dziennie. W farbiarniach płaca mężczyzny wynosi do 5.18 zł., płaca kobiety tylko do 4.16 zł. dziennie. Są to zresztą zarobki, należące do najlepszych.

Ale przeciętne płace fabryczne są znacznie niższe. Za normalne, „dobre” uważa się dniówkę 6 zł. dla robotnika, 3.50 zł. dla robotnicy!

Oczywiście, jest niezmiernie wiele prac, gorzej wynagradzanych. Dwuzłotowe zarobkiienne dla kobiety nie należą do rzadkości.

Drobne warsztaty konfekcyjne, spożywcze, pralnie, szwalnie, etc., w których najliczniej pracują kobiety, sklepy, zatrudniające parę zaledwie pracownic, małe cukiernie i jadalnie, wreszcie cały przemysł tak zwany chałupniczy, wykonywany przez kobiety w domu — to niezmierny obszar nędzy robotnic i pracownic, krzywdzonych zupełnie jawnie i nie mających najlżejszej możliwości upomnienia się o swój los i byt.

Młodociane pracownice, dziewczęta od 17-tu lat, podlegają najgorszemu wyzyskowi. Albo pracują przez dłuższy czas (rok, dwa) za darmo, rzekomo, jako praktykantki w rzemiośle, albo zarabiają 1—2 zł. dziennie. I one, w porównaniu z młodocianymi robotnikami, otrzymują znacznie niższe zarobki.

„Zasadnicza różnica” — pisze w swem doskonałym studjum, p. t. „Praca dzieci i młodocianych w Polsce”, inspektorka p. Halina Krahelska — „polega na tem, że wyzysk pracy dziewcząt w przemyśle odbywa się w sposób jawniejszy, bez tych pozorów, jakimi się okrywa wyzysk pracy chłopców. Jawny wyzysk pracy dziewcząt poprostu, jako zwyczajnych, tanich, najtańszych robotnic, jest poniekąd uwarunkowany upośledzeniem dziewcząt (w porównaniu z chłopcami) w dziedzinie t. zw. kwalifikacyj zawodowych i wykwalfikowania. Dzięki dawnym tradycjom cechów, dzięki osobliwym warunkom sadowienia się pracy kobiecej w przemyśle, niema kwalfikowania kobiet, nie szkoliło się w zawodach i nie szkoli się dziś dziewcząt. Tradycje dawne w stosunku do pracy kobiecej są tak silne, że nawet we współczesnem szkolnictwie zawodowem dla dziewcząt dotąd pomyślano tylko o szkoleniu w krawiectwie, kapelusznictwie, introligatorstwie, — jakkolwiek dziewczęta i kobiety pracują na równi z mężczyznami w najrozmaitszych gałęziach produkcji, częstokroć przy tych samych, co mężczyźni, maszynach (np. szlifierekach, tłoczarkach, krosnach, wrzecienicach). Kraje Europy zachodniej bynajmniej nie stoją pod tym względem wyżej od nas...”

Jedynem okiem Opatrzności, mającem czuwać nad tonią tej niedoli, mającem bronić krzywdzonych i pilnować wykonywania obowiązujących praw, jest — inspekcja pracy.

Od końca roku 1925 istnieje w Polsce specjalna inspekcja pracy kobiet i młodocianych. Stworzono ją w słusznym przekonaniu, iż odrębne właściwości ustroju i psychiki kobiecej, oraz rozpowszechnienie pracy dzieci i młodocianych, wymagają odrębnego na te kwestje spojrzenia i że sprawy te najlepiej powierzyć kobietom. Raz, że obserwowanie pracy kobiet i młodzieży będzie bardziej wnikliwe i bystrzejsze, niżby to potrafił zrobić mężczyzna; powtóre, że zdobycie zaufania, dostęp do duszy dziecka i kobiety, zrozumienie ich potrzeb — przyjdzie nierównie łatwiej kobiecie, niż mężczyźnie.

Nasze inspektorki dają dowody, iż taki punkt widzenia ma rację bytu. Ich raporty z podległych okręgów i warsztatów pracy świadczą o głębszem wnikiwaniu w sprawy pracującej kobiety i dziecka, ich publikacje trafiają w sedno wielu zawitych spraw społecznych. Dzięki ich wytężonej działalności przy wykonaniu ustawy o żłobkach fabrycznych, mimo tak wielu zastrzeżeń ze strony przedsiębiorców, już w ciągu pierwszego roku mocy ustawy powstało blisko 100 żłobków stałych i lotnych.

Ale — jest ich za mało, inspektorek pracy w Polsce! Nie mogą działać tego, co najpilniejsze nawet, bo nie mogą, wprost fizycznie nie mogą odbyć wizytacji wytwórni, fabryk i zakładów nawet raz do roku! Na cały obszar Polski jest tylko 8 inspektorek pracy i dwie urzędujące w ministerstwie w Warszawie. Wiele okręgów pracy nie posiada wcale inspektorki, chociaż, jak w Poznańskim, pracuje tam 20.000 kobiet, w Lwowskim — 10.000 kobiet i t. p. Niema wcale inspektorek w okręgach lubelskim, wołyńskim, nowogródzkim; nawet na Śląsku, tym ognisku pracy fabrycznej! Na Pomorzu ma być właśnie mianowana pierwsza inspektorka.

Tam, gdzie już istnieje kobieca inspekcja pracy — jest narazie raczej opiekuńczym symbolem, niż czynnikiem codziennego zdarzenia. (Nie znaczy to, by już istniejące placówki kasować! tylko zwiększyć je należy!). Bo, jak może sobie poradzić z istotnymi zadaniami inspekcji jedna inspektorka na Warszawę, skoro ma objąć opieką 20.000 kobiet i 7.000 młodocianych? Ile faktów dojdzie do jej świadomości? Musi się ograniczać do łagodzenia zatargów zbiorowych, do spraw ogólnego znaczenia, do interwenjowania w wypadkach tylko szczególnie jaskrawych. Na Łódź (100.000 kobiet) są dwie inspektorki, w Kielcach (35.000 kobiet i 14.000 młodocianych w fabrykach) jest jedna inspektorka, na okręg krakowski (20.000 kobiet i dzieci) także jedna.

Potrzeba pomnożenia placówek kobiecej inspekcji pracy jest, jak widzimy, wręcz paląca. Jest to jedna z najistotniejszych spraw kulturalnych, zdrowotnych, nie mówiąc już o jej humanitarnem znaczeniu. Otoczenie należytą opieką robotnic, matek licznych i biednych rodzin; szkolenie młodocianych robotnic do zawodów, by nie podpadały przez całe życie wyzyskowi; stworzenie dla nich ludzkich warunków w fabrykach, gdzie byłyby umywalnie, wen-

tylacja, krzeselka do odpoczynku podczas 8—10 godzin pracy; niedopuszczanie zbyt ciężkich prac dla kobiet i dzieci, ochrona przed niedotrzymywaniem warunków płacy, i t. d. — to cały olbrzymi zakres spraw, leżących przeważnie odłogiem, bo niema nikogo, kto by je wykonał. Niema inspektorek pracy!

Sprawa zaognia się obecnie. Oto posłanka, Eugenia Waśniewska, na komisji budżetowej sejmku wniosła aż nadto umotywowany i słuszny wniosek o powołanie 5 nowych inspektorek pracy, by w każdym okręgu była chociaż jedna przedstawicielka opieki i ochrony kobiet i dzieci. To skromne żądanie zostało odrzucone w drugim czytaniu budżetu.

Owe 5 „etatów“ inspektorek kosztowałoby 37.000 złotych rocznie. Suma znikoma, jeśli chodzi o wysokość pozycji w budżecie państwowym, suma olbrzymia, gdy się uwzględni jej znaczenie dobroczynne dla setek tysięcy pracujących kobiet i dzieci.

Walka o tę pozycję na terenie pełnej izby sejmowej musi się skończyć zwycięstwem słusznej sprawy społecznej, o ile opinia szerokiach rzesz kobiecych napiętnuje złe i szkodliwe stanowisko wrogów kobiety pracującej i energicznie upomni się o jej prawa. O nasze własne prawa — bo któraż teraz kobieta nie jest pracującą? Któraż nie potrzebuje instancji opiekuńczej, która broniłaby ją przed wyzyskiem, gwarantowała wykonanie umów, ochronę zdrowia, macierzyństwa i opieki nad dzieckiem?!

Organizacje kobiece, bez względu na ideologię, na barwę przekonań, powinny wystąpić z akcją, popierającą żądanie posłanki Waśniewskiej. Jak już niejednokrotnie zrzeszonymi siłami osiągnęły zwycięstwo — stać się to powinno i tym razem.

Rozbudowa ochrony pracy — to jedna z najważniejszych spraw nie tylko kobiecych, lecz ogólnospołecznych w Polsce dzisiejszej, a dla Polski przyszłej.

Jadwiga Krawczyńska

M. H. SZPYRKÓWNA

O PROPAGANDZIE

W ostatnich czasach, z rozwojem samodzielnej Polski, kraj nasz staje się coraz częściej terenem dla międzynarodowych odwiedzin.

Odwiedziny te mają charakter rozmaity. Bądź przyjeżdżają ludzie, złączeni z Polską interesami handlowymi, bądź — dyplomaci, bądź poszczególne osoby, czy grupy, zainteresowane naszą ziemią, zwyczajem i kulturą, o której wiedzą aż nazbyt nieraz mało.

Nie dotyczy to — mam na myśli brak dokładnych informacji o Polsce — tylko sfer pośrednich: koperty od listów międzynarodowych, nadsy-

łanych co czas jakiś do Polski z fantastycznymi dziś już adresami, które Warszawę umieszczają w Rosji, a Kraków — pod Wiedniem, są tego dowodem. Pochodzą najczęściej nawet od osób, czy instytucji, z Polską związanych i bynajmniej nierzadko — politycznych. Ostatnio przed paroma dniami taką kopertę odfotografował któryś z Kurjerków.

Dowodzi to z jednej strony ignorancji zagranicy, właściwie — zupełnego braku uświadomienia o sprawach powszechnych, które w uczelniach zagranicznych przeważnie są na daleko późniejszym

planie, niż w naszych szkołach: tam każdy kraj studjuje i wie przedewszystkiem to, co go dotyczy osobiście. Nie można nie przyznać temu lwiej racji! My — zbyt mało wiemy o sobie, pochłonięci powszechnymi zainteresowaniami. Dlatego stanowimy ciekawy wyjątek — my, słowianie wogóle — wśród międzynarodowej rodziny: bezwarunkowo, zarabiamy na jakąś rolę powszechną wśród innych, dbających tylko o siebie — i zapewne taki charakter naszego plemienia słowiańskiego nie jest bez głębszych przyczyn i znaczenia dla układu przyszłych stosunków mapy narodów. Ale to są rzeczy dalsze.

Blizszą rzeczą natomiast jest sposób, w jaki zapoznajemy przybywających do nas ludzi z tem, co mamy, i jak gospodarujemy własnym dorobkiem, aby wypadło to najkorzystniej dla wrażeń cudzoziemca o nowym i nieznanym kraju, jaki odwiedza, o którym wiadomości zawiezie do swoich ludzi, rodzin i społeczeństw.

Nie jest to murowane, ale mam wrażenie, że, naogół biorąc, gospodarujemy pod względem gościnności dość kosztownie z jednej, i dość fatalnie — z drugiej strony. Nasz nielicznie jeszcze uczęszczany *jour* narodowy kosztuje nas o wiele więcej, niż przynosi chwały, czy zysku, jeżeli go brać tylko bodaj ze stanowiska towarzyskiego.

Bo i jakże to się dzieje?

Przedewszystkiem — przypadkowo.

A to samo już jest wielkim minusem. Z chwilą, gdy zaczyna istnieć potrzeba stała tej reprezentacji — nie w sensie odbywania bankietów, na co mamy masami chętnych, ale w sensie pokazania im dorobku narodowego i kulturalnego w sposób najmniej kosztowny, a najbardziej korzystny dla nas, dla nich zaś najbardziej zajmujący, a najmniej szablonowy — kwestja się musi unormować. Musi powstać jakieś ciało stałe, powołane bądź z rządowych, bądź z ochotniczych czynników, bądź zresztą z nich obu w porozumieniu — i ta organizacja powinna już ześrodkować w sobie i koszty, i trudy, i planowość odpowiedniego przedstawicielstwa, które inaczej chodzi zbyt dziwnymi drogami.

Otóż każde przedstawicielstwo musi mieć oczywiście dwie strony — reprezentacyjną i moralną. Reprezentacyjną stronę podjęły u nas niektóre urzędy, do których ta rzecz z konieczności przynależy — ministerstwa i instytucje miejskie, lub też, jeżeli idzie o pewne specjalne grupy zwiedzających — to specjalne również grupy miejscowe: pedagogowie, technicy, lekarze i t. d. Każda z tych instytucyj robi wysiłki, oczywiście, aby zadaniu sprostać, ale szablon, jaki się wyrabia mimowoli z biegiem czasu, wpływa fatalnie na prawdziwą i żywą treść rzeczy. Wykuliśmy pewne kanony, w które wchodzi Łazienki, Zamek, Muzeum Narodowe (dalekie od reprezentatywności, tymczasem) i Wilanów. Nato zwierzchu przychodzi nadmier-

na zwykle ilość mów uprzejmościowych i bankietów, które dlatego zapewne się tak przyjęły, że osładzają niejako ciężkie obowiązki oprowadzającym, ale bynajmniej niezawsze — oprowadzanym. Nie dotyczy to tylko Polski. Ktoś, kogo znam, po powrocie z wycieczki do jakiegoś sąsiedzkiego kraju, twierdził, że chętnieby wstąpił do instytutu głuchoniemych i przeszedł na chleb i wodę dla uzyskania równowagi, zachwianej przez gościnnych gospodarzy.

Cóż jednak zostaje po powrocie z obcego kraju, naturalnie poza krajobrazem i zewnętrznym wyglądem miasta?

Oczywiście — ludzie.

Ci to właśnie ludzie — banalni lub ciekawi, kulturalni czy gruboskórni, uprzejmi, czy tylko poprawni, serdeczni, czy tylko uprzejmi: oni to zostają w pamięci trwale. I nie to głównie zapisuje się w pamięci, co pokazywali cudzoziemcowi z zabytków i dorobku swego miasta, czy kraju — ale *jak* to umieli pokazać. Jakim duchem jest owiane to, o czem mówią? Jak prawdziwa jest własna ich miłość do tego, co innym każą podziwiać? Jak dalece znają sami naprawdę rzeczy, z którymi obcych chcieliby zapoznać? Ile wnoszą ze siebie indywidualnie w ten obowiązkowy rytuał oprowadzania i podejmowania przybysza — rytuał, który, o ile nie jest zabarwiony intensywną indywidualnością gospodarzy — staje się nużącym dla gospodarzy i gości. We Włoszech, Francji czy Szwajcarji, gdzie, bądź natura, bądź kultura stworzyły na tle wieloletniego dobrobytu już samonarzucające się poniekąd ciekawości dla przybysza — szkopał ten odpada. Ale miasta północne rzadko mogą się temi atutami popisać: zwłaszcza Polska jest zbyt ubogą zabytkowo i zbytkowo od kilku stuleci, aby zaimponowała tem mianowicie komukolwiek bądź „z Europy“, jak wyrażają się o nas zagranicznicy. Czemże więc zaimponować może, jeżeli odrzucić wiele, a zbędnych patryjotycznych komunałów, stworzonych ku pocieszeniu własnemu, a nikogo zwykle nie przekonujących: jakim atutem?

Ludźmi. Jeszcze i jeszcze raz: ludźmi! Miłością tych ludzi do kraju, którą powinien cudzoziemiec wyczuwać, a wyczuje ją nie z frazesu patryjotycznego, ale z doskonałej znajomości prawdziwych wartości, pamiątek i przeżyć danego narodu, to raz; starannem i celowem przemyśleniem tego, co i komu pokazać należy, aby indywidualnie najciekawsze dla nich, a najkorzystniejsze dla nas strony wydobyć na światło — dwa; i trzy: osobiste zadzierzgnięcie stosunków pomiędzy poszczególnymi osobami przez poznanie prywatnych domów kulturalnych i miłych mieszkańców naszego kraju, któreby cudzoziemcowi dały przekrój prawdziwego, a nie na pokaz, życia mieszkańców: ich urządzeń domowych, sposobu bycia, podania do stołu, obrazów, muzyki, dzieł sztuki i bodaj ubrania się kobiet, które ten dom zamieszkują. Te rzeczy istotnie

oświeclają zwyczaje i odrębności danego kraju i — zostają w pamięci długo potem, gdy już ślad wspomnienia o bankietach i zabytkach znikł.

Miałam sposobność przekonać się osobiście z okazji prywatnych, jak to prywatne zadzierzgnięcie stokrotnie przewyższa olbrzymią wydajnością kosztowne i męczące bankiety reprezentacyjne. Mogę śmiało powiedzieć, że jedna niewidoczna i niewysuwająca się naprzód kobieta z warszawskiego inteligenckiego środowiska, nie mając żadnych na to funduszy, prócz wielkiego funduszu miłości dla kraju, jakiego nie roztrwoniła w życiu — zdołała stworzyć dla tej Polski jakgdyby małe forteczki promieniowania po wszystkich bodaj krajach Europy. Bo każdy, ktokolwiek z nią wszedł w kontakt, przez wiele lat potem i aż do nieskończoności, pamięta o niej, pisuje do niej, odbiera od niej listy i jest niejako uchwycony w sieć jej przemyślniej i pełnej serdecznej mądrości akcji pro-polskiej. Prowadzi ją nie na papierze i nie bankietowymi racami: a naprawdę, możnaby się z listów, do niej pisanych, wiele a wiele nauczyć, jak takie akcje prowadzić trzeba, ażeby imię Polski szło w górę na giełdzie międzynarodowej, i co to jest — czynny i mądry, dobrze zrozumiany patryjotyzm.

W zwykłym warszawskim salonie tej pani, w galotce, zobaczyłam rzeczy, o których nie miałam pojęcia, że są Polską. Ona je zna. Ona zna wszystko, czem Polska jest naprawdę bogata i czem może być słusznie dumna. I kładzie w ukazywanie tego niewiedzącym tyle głębokiego przekonania i drobiazgowej znajomości swego kraju, miasta, historii i narodu, że to promieniuje z każdego jej oprowadzenia po mieście w najbanalniejszych okolicznościach, jak drogocenny gram radu, zamknięty w zwykłej blaszance. Umie posłać każdemu co czas jakiś pocztówkę, kilka pocztówek, serię znaczków, jakiś kilimek, jakąś wstążkę łowicką, jakąś koronkę śląską, jakiś drobiażdżek ludowy, czy przynajmniej jego zdjęcie, i po dalekich centrach stolic stwarza zaczątki wiedzy o Polsce.

„Dla nas Polska jest obca, to prawda: ale skoro jest tak przez was kochana, to widocznie musi być tej miłości warta, i teraz już interesuję się waszymi sprawami i nieraz prostuję mylne zdania, które o was krążą (Niemcy) — i, jakkolwiek będziemy wysyłali wycieczkę, zawsze zawiadomię Panią, bo wiem, że wtedy poznają wszystko tak, jak żaden urzędowy przewodnik pokazać nie zdoła: wszyscyśmy potem mówili, że pani doktorowa ma jakiś talizman, którym umie zjednać i skupić nawet tak różnolite, jak nasze wtedy było, towarzystwo“.

Sądzę, że ten talizman — to wielka miłość niewidocznej, prywatnej, że tak powiem, kobiety do kraju — patryjotyzm, który oby miał najwięcej takich właśnie form przejawu! A której z nas chciałoby się pisać do dziesiątków obcych ludzi latami, posyłać im drobiazgi, które wymagają i czasu i kosztu, zbierać wszystkie miłe dla nich odgłosy i wiadomości i korzystać z każdej okazji przypomnienia o Polsce: jedynie dlatego, aby kilkadziesiąt małych reduct przyjaźni utwierdzić temi trudami w wielkim morzu obczyzny i zawiści, jaka nas otacza? Któraby chciała?...

A może jednak — któraś przecieży chciała? W takim razie, niech złoży swoją ofertę bodaj pod moim nazwiskiem: skomunikuję ją z kołem pań, które wycieczki cudzoziemskie podejmują i którym zawsze brakuje dość adeptek. Trzeba naturalnie, znać jakieś obce języki — no i przede wszystkim — znać swój własny kraj: jego historję, zabytki i wartości. Ewentualnie — możnaby to wspólnie poznawać. Można zorganizować na początek kilka niedzielnych zwiedzeń samej Warszawy w ścisłym gronie, ażeby na-
przód zobaczyć, zanim pokazywać innym: czy nie dobrze? Ktokolwiek sobie życzy, niech nadeśle odpowiednie zgłoszenie. Trzeba się nauczyć powojennej Polski, zanim ją będziemy pokazywali powojennej Europie!

A czy naprawdę wielu z nas ją zna?

LUCYNA KRZEMIENIECKA

ZALEŻNOŚĆ

*Kto mi odpowie, dlaczego,
kto mi to wytłumaczy,
że właśnie Ty musisz dla mnie
więcej, niż cały świat, znaczyć?*

*że nie zbawią mnie inne uśmiechy,
nie zbawią słów innych tysiące.
Twoje tylko będą najlepsze,
Twoje tylko będą kwitnące.*

*Bo z Twoich słów tylko, jak z nasion,
mogą rozrastać w moich chmiel ogrodzie
białe kwiaty cudownej radości,
o którą się modlę codziennie.*

HERMINJA NAGLEROWA

40)

ZAWALIDROGA

(powieść)

— Stary chce na pana miejsce wtrzyąć swoją damę. Przylazi tu do niego co noc i wspiera przy ciężkiej pracy. Nie trzeba się dać, niech pan z tem do naczelnego.

Ale Franek nie poszedł do „naczelnego” i tak właśnie się stało, jak przewidywał Cieślak. Z dniem 1-ego stycznia wymówiono Frankowi miejsce. Daremnie buntował go Cieślak, czuły na krzywdy, nie się tu już nie dało odrobić, a nawet nie należało przeciwdziałać. — Niech się wszystko wali, niech się wszystko... A zresztą, czy już nic innego, tylko ta korektorska praca?

Pewnego dnia, gdy o świcie wracał ulicą, zapachniał sosnowy las na skwerze. Jakieś postacie odrywały się ciemniejszą szarością od tła świtu i ustawiły choinki. Zębatą, czarną linią wycięło się granatowe powietrze, przy wozach prychnęły konie i tak się stało, że przypomniany, dawniejszy smutek wparł się w serce. — Konie przy żłobach — wspomniął Franek. Wiedział przecież, że tamto już nie istnieje i nagle, jakby się rozweseliły myśli Franka: — Przestaje istnieć wszystko, rozwiewa się, jak zapach. Więc co zostaje, u licha? — Ja, ja sam! Trzeba swoje „ja” nanowo napęlić, jak żołądek jadłem — niech trawi.

Domy zabarwiał się wolno ciemno-fioletowym rankiem, szarzało niebo krańcami już płynne i srebrzyste, jak rtęć. Tu i ówdzie zaklaskały kroki i grupy robotników przeszły w biegu, niby kuropatwy po gruzie. Piekarskie wozy zapachniały chlebem i coś nienasyconego, coś wiecznie głodnego zerwało się z bruku miasta, wybiegło z ciemnych bram domu i jakby odrazu krzyknęło, rozsypało się wrzawą. Ludzie wstali do chleba. Jeszcze był mrok na świecie i od czasu do czasu przebiegał samochód z pełnem, oślepiającym światłem reflektorów; zdaleka dzwoniły pierwsze tramwaje, a na drutach rozcierały się iskry w pryskające, zielone błyskawice. Ranek, oszroniony mrozem, wstawał zwolna, jak włochaty zwierz z legowiska, więc w oknach podnosiły się zasłony i miało się wrażenie, że to ziewające paszcze rozwierają się szeroko za kratami klatek. Fury, przykryte worami, z latarniami, bełtającemi, jak wymiona, rozsiewały nikły zapach kapusty i stęchłej, piwnicznej ziemi.

Franek spostrzegał dziś wszystko, jakby odmienionemi oczyma. Coś ostrego było w zmysłach, coś jaskrawego w samem pojmowaniu. Niby ocknięty z koszmarne snu, witał rzeczywistość i cieszył się, że taka właśnie jest, że swoim ogromem, swoją natarczywością spycha i przesłania zły sen. W tej rzeczywistości można siebie określić, dla siebie znaleźć miej-

sce. Wiedział przecież, do czego zmierza, czem chce być. Więc trzeba będzie znowu wrócić do wykładów na uniwersytecie, znowu do wierszy, aby jakoś rozumnie i prawidłowo przedzierać się przez tłok urojeń.

I dlatego to nie wytrzymał Franek w drukarniowych przepisowych czternastu dni od wymówienia, ale odrazu ustąpił miejsca — damie. Był wolny, więc od rzeźwego ranka zaczynał się dzień projektami i ochotą do wszystkiego, co się zdarzy.

Któregoś dnia zaszedł na uniwersytet i poprzez znajome twarze odszukał oczy Hanki. Rozbłysły radością i tak mu już świeciły przez cały czas wykładu. Potem, jak dobrzy koledzy, rozmawiali o sprawach uniwersytetu, a Hanka ofiarowała się skryptami, żeby nie stracił semestru. Nawet proponowała wspólne przygotowywanie się do colloquium, bo z pewnością nie da sobie sam rady, skoro tyle opuścił. Jedzie teraz na święta do krewniaków, ale zaraz po powrocie zacznie się nauka, zwyczajne sztubackie kucie.

Jeszcze przed tym wyjazdem spotykali się parę razy, aby pomówić poważnie o metodach profesorów, o sposobie egzaminowania, o próseminarjum i referatach, a także o sprawach organizacyjnych. Coś się przecież działo na uniwersytecie w czasie nieobecności Franka i jakieś nowe kwestje wzburzały studenckie społeczeństwo. Hanka była już po uszy w „robocie” i hojnie szafowała — wnioskami, rezolucjami, petycjami. Gdy się tak zbliża rozmawiało o poważnych sprawach, trzeba było zataić śmiechy i poskromić ochotę rąk. Mówiło się: koleżanko, kolego, chmurzyło się brwi, a słowa brzmiały okrągło i soczyście, jakgdyby w nich była sama esencja doniosłych zagadnień.

Ale na dworcu, gdy Hanka odjeżdżała, trochę odmiennie, niby w innej tonacji, brzmiały przyjacielskie rozmowy. W zamrażniętej szybie wagonu zaledwie udało się oddechować małe kółko, w którym raz rysowały się czerwone wargi, raz mrugało czarne oko Hanki. Żegnała się „fragmentami”, jak to sobie wesoło wykombinował Franek i tak właśnie fragmentami o niej rozmyślał. Więc włosy trochę złotawe i sfalowane, zachodzące na policzki zakrętem, jak znak zapytania; więc nierówny rumieniec, spływający aż na podbródek; zęby podługne, szybko wychylające się z warg, jakby zawsze gotowych do śmiechu, do prędkiej i łatwej rozmowy.

Idąc ulicą, rozdawał dziś Franek byle komu swoje radosne uśmiechy. Kobiety przyjmowały je wdzięcznie, nie dbając o to, że są pospólną własnością, albo, że je zabierają — jednej jedynej. I tak

z tej igraszki, odbywającej się mimochodem, utwierdzała się potrzeba radości i zabawy. Wtedy, chcąc nie chcąc, musiało się wspomnieć Adonisa, który istniał przecież w tem mieście, niewdzięcznie zaniedbywany przez tak długi czas, a o tej porze właśnie zasadzony przez brata do biurka bankowego.

Bank, nito wykuty w skale, chropawemi głazami wcinając się w róg ulicy, jeszcze muskularnemi ciałami karjatyd wkraczał na chodnik. W kolistym westibulu siedł ciepły wiew kaloryferów, a w złotym blasku szklanego dachu płonęły marmury i mahonie. W okienkach brzęczało srebro, szeleściły papiery, klaskały liczydła. Gdzieś w głębi, jak letnia ulewa, chlupotał gniewny pośpiech maszyn do pisania. Głosy ludzkie jakby przypadły do ponsowych chodników, a nawet ci, którzy brzuchato narastali w klubowych fotelach, przemawiali tu cicho i potulnie. Czasem tylko szczupły, wyczesany urzędnik wymykał się ze swojej klatki i, jak oswojone zwierzątko, biegał wśród marmurowych kolumn, albo z papierami w ręku, jak z bukietem ślubnym, wkraczał na schody, a windy grały mu rozciągliwe pasaże, niczem organy.

Prześladowany przez woźnych, podawany od drzwi do drzwi, dotarł wreszcie Franek do Janka. Adonis od razu wiedział, dlaczego do niego powrócił marnotrawny przyjaciel. Jeszcze tylko przesunął kilka gałek na liczydło i jakieś cieniutkie papierki założył na niklowe pazury, poczem sąsiadowi przy drugim biurku mile poszeptał nad łysiną i był już gotów — śliczny, wystrojony, puszysty od angielskiej welny palta.

Umówili się zaraz na ślizgawkę do „Łobzowianki“ i trzeba było tylko łyżwy oporządzić, nieużywane jeszcze przez Franka tej zimy. Janek naprawdę ucieszył się, że może tak z Frankiem porozmawiać choćby o Jadzi, która była teraz „fortancerką“ w pierwszorzędnym dancingu.

— Udało mi się przez brata, z którym się przecież liczą.

Janek musiał też wrócić do tej śmiesznej sprawy — do ucieczki Franka z domu.

— Brali mnie poprostu na spytki, bo myśleli, że ukrywam ciebie, a brat prawie szantażował — właśnie tą protekcją dla Jadzi.

Właściwie jednak ta cała awantura podobała się Jankowi, który także nie miał sympatji do Oli. Celuje przecież na zamążpójście i oczywiście za Adolfa, więc Janek postanowił ratować brata przed taką katastrofą. Coś tam już wiedział o przeszłości Oli, o jej burzliwej karierze, o tem niby wdowieństwie. Miał już nawet gotowy plan intrygi, gdyby tylko Jadzia była mądrzejsza i nie kochała się w nim „bez pamięci“. Jadzia bardzo podobała się bratu i tak możnaby Oli spleść figlę.

Ale, gdy Adonis opowiadał z chytrą miną o swoich intrygach, Franek przeląkł się, że mu właśnie teraz, tym samym tonem opowie coś o matce. Należała

przecież do tego „towarzystwa“ i pewnie współdziałała na korzyść Oli. Już sobie tam podawali ręce, jak w zabawowym kole, a on niby w tej dziecinnej zabawie stoi w środku z przewiazanemi oczami i szuka przejścia. Czuje tylko oddechy, słyszy tylko śmiech i potyka się o mocno spięte ręce. Żałował teraz, że znowu zbliżył się do Adonisa, który od razu wciągnął go do tych spraw i nawet przeznaczał mu rolę w intrydze.

— Musisz z nami chodzić na dancing, a już tak we dwójkę, jak parawanem, osłonimy Adolfa. Wcale nie jest taka demoniczna ta piękna Ola, jest tylko cwana, ale myślę, że jej damy radę. Wiem, że się ciebie boi po tem wydarzeniu i że wogóle trzymasz teraz w postrachu cały dom.

Tak mu tu kadził pochlebstwami, że Franek nie mógł się przyznać do swoich poniżeń domowych. Owszem, przechwalał się, jak to on wobec tej Oli i jak się zabiera do robienia porządku w domu. Oczarowała matkę, ale to musi się wreszcie skończyć. Dobrze wiedział, że Adonis skrywa cyniczne uśmieszki, lecz swoim samochwalstwem trzymał go, jak na smyczy. Niech mu tylko nie nie rozpowiada o matce, niech go nie informuje. Informacje Janka były przecież zawsze aż nadto ścisłe.

XXXIX.

Muzyka grała walc.

— To nie walc, to boston — spierał się Janek.

Przymocowali łyżwy i poszli zygzakowatym ryśnięciem po białych kryształkach ślizgawki. Wnet gawiedź za parkanem wyróżniła obu i trzeba było pokazać, co się umie. Więc holendrowanie zostawiono uczniakom w granatowych kaszkietach, a zato walono wstecz, kręcąc nogami ósemki. Ręce wsparły się o ramiona i gdy muzyka zagrała shimmy, młodzieńcy zasłużyli na brawa. Panienki odfrunęły od dzikiej pary i, stojąc bohatersko na skraju, zachwycaly się głośno. Zato mężczyźni nie ukrywali zawiści i ten lub ów szedł już na karkołomne współzawodnictwo, aż ktoś zwałił się wpoprzek, spletał nosami łyżew i trzeba go było dźwigać z upadku, strzepując hańbę z ubielonych spodni.

— Jest Karol! — krzyknął Adonis. — Tam z Wandą, widzisz?

Długie nogi Karola załamywały się w kolanach, a Wanda w papuzim swetrze, w frygijskiej czapce powiewała złotemi lokami. Trzymali się wkrzyż za ręce i brali należyty, staranny krok — raz wlewo, raz wprawo. Ledwie mogli uprzejmem mrugnięciem powiek przywitać znajomych młodzieńców, ale Janek podstępnie porwał Wandę, zostawiając Karola w mocnych ramionach Franka. Nos Karola płonął, niby rajskie jabłuszko, policzki, jak u mumji, przyschnięte do kości, kwitły jaskrawemi plamami. Dawno się nie widzieli, bo choć Franek bardzo lubił Karola, zawsze c nim zapominał. Więc ilekroć po dłuższym czasie

spotykał się z nim, musiał rozpoczynać rozmowę od: — Jak ci się wiedzie? Albo: — Co się z tobą dzieje? — Karol zato mówił o sobie tak, jakgdyby rozstali się przed godziną. I dlatego z początku trudno było połapać się w tem, co Karol z taką oczywistością, z taką intymną swadą opowiadał. Teraz jednak Karol musiał najpierw wykasłać się, a tańczył przy tem na łyżwach, jak murzyn w music hallu.

— Poco chodzisz na ślizgawkę, gdy jesteś przeziębiony?

— Dla Wandy, prosiła...

Usta drżały mu jeszcze z wysiłku, a cynobrowe

plamy na policzkowych kościach świeciły, jak świeżo pokostowane. W kilku zdaniach, które Karol na wstępie powiedział, wszystko odnosiło się do Wandy: — że lubi sporty, że jej tego potrzeba, że świetnie się ślizga — o, niech tylko spojrzy, jak to jej idzie z Jankiem. Wanda już się umieszcila w objęciach Adonisa i każdy mógł widzieć, że jego ręka dotyka jej małej piersi. Karol jednak patrzył na to inaczej i Frankowi zdawało się, że oczy Karola płaczą bez łez, niby oczy psa. Nawet jakby poderwał się ku tamtym, ale już w łuku odbiegł w inną stronę, więc Karol poskarżył się tylko, że ma gorączkę i wołałby usiąść na chwilę.



WANDA GRABIŃSKA.

MOI NIEPOPRAWNI

Jestem u siebie w sądzie. Chwila błogiej ciszy. Rozkoszuję się nią. Zaczynam przeglądać korespondencję. — Ach! Znowu telefon...

— Hallo!... Pani-doktor?... Jedzie pani do sądu z Felką? Cóż ona takiego zrobiła?... Mam ją osądzić? Ale jakżeż to będzie?... Inscenizacja? Ha — trudno! ale chyba tylko dla pani. Więc czekam! Dowidzenia.

Odkładam słuchawkę. Jestem zatroskana. Pani-doktor kieruje zakładem dla dzieci, upośledzonych umysłowo. Jest tam paru naszych niepoprawnych.

Felka nie przechodziła przez sąd, ale wiem, że jest zakałą zakładu: debilizm i manja kradzieży. Wyrzucona z trzech szkół i dwóch domów wychowawczych. Cóż ja mam z nią zrobić?... Przecież ta mała jest prawie nieodpowiedzialna...

Przyjazd pani-doktor przerywa moje rozmyślenia.

— Co się stało? — pytam od progu.

— Felka znowu ukradła, tym razem poduszkę.

— Komu? Jaką?

— Bah!... Chyba pani nie przypuszcza, że była to zwykła poduszka. Wszystkie dzieci z zakładu haftowały ją wspólnie przez pół roku na imieniny dla wychowawcy. W przeddzień tej uroczystości Felka wyniosła ją na ulicę i sprzedawała komuś za 20 groszy.

— Cóż na to dzieci?

— Dzieci? Chciały ją zlynczować. Ledwie można było powstrzymać je od ekscesów. A kiedy im wytłumaczono, że nie można nikogo karać bez sądu, to zrobiły nad Felką sąd i jeden z chłopców, jako prokurator, wystąpił do mnie z taką przemową:

„Dziwne metody pedagogiczne panują w naszym zakładzie. Zamiast wyrzucić stąd Felkę, jak tyl-

ko pierwszy raz ukradła, pani-doktor przywoziła jej w niedzielę cukierki, a przecież Felka właśnie na cukierki kradnie... No i teraz doczekaliśmy się tego, że ukradła naszą poduszkę. Ona się już nigdy nie poprawi i ja proszę o skazanie Felki na śmierć“.

— Nie do wiary!

— A jednak tak było. Inne dzieci proponowały odesłać ją do Studzieńca, albo do więzienia, ale większość wołała, żeby ją zabić. Zobaczyłam, że to nie przelewki, i wtedy powiedziałam, że zawiozę Felkę do prawdziwego sądu. To zrobiło wielkie wrażenie i na dzieci i na Felkę. A że Moniek od tego czasu, jak mu pani udzieliła nagany, już trzeci miesiąc sprawnie się dobrze, więc pomyślałam, że może i dla Felki będzie to dodatnim wstrząsem psychicznym. I proszę panią o zainscenizowanie tego...

— Ha, trudno! dawajcie Felkę na salę.

Wchodzi duża, tęga dziewczynka. Głowa spuszczone, kędziory czarnych włosów spadają aż na nos.

Rozpoczynam przewód sądowy. Pytam się Felki o imię, nazwisko, wiek. I czy przyznaje się do winy. A to wszystko jednym z najsroższych moich głosów.

Rezultatu nie czekamy długo.

Felka wybucha strasznym płaczem. Jest przecież w sądzie, a dzieci domagały się dla niej kary śmierci. Teraz już widzi, że źle zrobiła i że nie trzeba było sprzedawać poduszki za 20 groszy. Teraz to ona już naprawdę nie ukradnie nigdy w życiu...

Ale ja jestem nieublagana. Z nad różowej okładki przygodnych akt obwieszczę Felce wyrok, skazujący ją na bezterminowe umieszczenie w zakładzie poprawczym.

Efekt jest niebywały. Zdruzgotana Felka lka gło-

śno i zaklina, że to już ostatni raz. Wtedy znajduję litość w swoim twardym sercu i obwieszczam Felce, że karę jej zawieszam.

— Ale jak tylko pani-doktor poskarży mi się znowu, to zawieszenie będzie cofnięte. Zrozumiałaś?

— Ja już nie będę, nie będę...

— No, to dobrze, sprawa skończona.

Opuszczam salę posiedzeń. W przejściu przez kancelarię zbliża się do mnie kurator, mówiąc:

— Proszę pani, jakiś chłopiec prosi o widzenie z panią-sędzią, co mam mu powiedzieć?

— Niechże go pan poprosi do gabinetu.

Drzwi się otwierają. Mała postać sypie do mnie od progu prędkim krokiem.

A, to Karol — jakże dawno go nie widziałam...

— Czegóż ty chcesz, chłopcze?

— Bo ja przyszedłem prosić panią o jaką pracę...

— A cóżbyś ty chciał robić?

— Wszystko jedno, co. Byleby zarobić dużo pieniędzy.

— Hm... A czy miałeś tu u mnie w sądzie sprawy?

— Miałem.

— Dawno?

— Na wiosnę.

— A o co?

— Raz o rower, a raz pieniądze u babki...

— No i cóż?... Od tego czasu?... Jakże tam, wszystko w porządku?

Nagle spuszczenie głowy i ciche, niezmiernie ciężkie:

— Nie...

— Nie?... Jakże to?...

Chłopak czerwieni się po białka. Długa pauza... Wreszcie:

— Bo ja znowu ukradłem rower koledze i ukie-kłem...

— Kiedy?

— Cztery miesiące temu.

— I cóż ty robił przez ten czas?

— Tułałem się.

— A ten rower zwróciłeś?

— Nie, bo mi się popsuł... sprzedałem.

— Czeka... ale ty masz zapewne o to nową sprawę?

— Umhu!

Proszę pani sekretarki o wszystkie sprawy Karola. Natrafiam na nowe akta, wewnątrz moja dekre-tacja: zarządzić poszukiwania oskarżonego przez po-licję.

Kładę rękę na karku chłopca.

— Widzisz, co tu napisane? że się ukrywasz.

Czy wiesz, że powinnam cię zamknąć teraz do paki?

Głowa pochyla się bardzo nisko.

— No, widzisz, co sobie znowu narobiłeś; ale powiedz mi jeszcze szczerze, dlaczego ty sam przyszed-łeś dzisiaj do sądu?

Teraz łzy już zaczynają spadać coraz obficie-j. Pryska męskość skończonych lat szesnastu. I płynie żalosa spowiedź słów.

— Bo mnie babka wyrzuciła... Dała mi jedną ko-szulę i dwa złote i kazała pójść precz... Żeby się nie ośmielił do niej wracać. „Tyle razy uciekałeś“ — po-wiedziała — „widocznie ci źle, to i ja też cię mam dosyć“. Więc wyszedłem na ulicę, chodziłem i chodzi-łem i nie wiedziałem, co zrobić i... przyszedłem tutaj...

Ach, no tak... Więc nareszcie dogadaliśmy się...

— Czy ty masz ojca, Karolu?

— Właściwie, to nie...

— Jakto „właściwie“?

Milczenie.

— No, to idź tam do drugiego pokoju i czekaj.

Przeglądam akta, telefonuję. Wzywam natych-miaś przez policję babkę i ojca. Za pół godziny są oboje. Wysoki, ponury mężczyzna o spracowanych rę-kach, i ledwie na nogach się trzymająca, zgrzybiała, schludna starowina.

— Czy to prawda, że pani Karola wyrzuciła z domu? — pytam babki.

Z wyniszczonej twarzy podnoszą się na mnie bez-barwne, żalodne, wypłakane oczy, ze zwiędłych ust wysuwa się bolesna skarga.

— Bo ja już sobie nie mogłam dać rady, bo wszyscy na mnie, że to babka winna. Karol na mnie, że przezemnie ojciec go nie kocha. Ojciec na mnie, że babka mu syna wychowała na złodzieja... A ja, proszę sędzi, mam 86 lat, to co ja mogę dać chłopcu więcej, jak jeść i pić, a nawet mieszkania dla niego to też nie mam; sama mieszkam kątem u rodziny zię-cia, a Karol sypia koło mego łóżka na podłodze. A czy to ojciec nie powinien chociaż dojrzeć, co chłopiec robi? Czy to nie powinien czasem przyjść do niego, coś mu przynieść? Karol miesiąc kiedyś z domu nie wychodził, bo butów nie miał, a czy ojciec się o to zatroszczył? A jak się co złego, to babka winna. A ja też stare lata chcę mieć spokojne. Za ten rower są-siadka upomina się 50 zł. Kto to zapłaci?

— Ja — wrywa się Karol.

Wydałam chłopca z sali.

— Dlaczego pan się nim nie opiekuje? — pytam ojca.

— Jabym się nim opiekował, gdyby on u mnie był, ale, jak był mały, to babka przyjechała i pokry-jomu wywiozła go z domu dorożką... To niech go so-bie teraz chowa.

— A to poco sobie wzięłeś do domu kochan-ke? Co?

— To moja rzecz... niech się babka nie wtrąca. Nawarzyła babka piwa, to niech go teraz pije!

Nawarzyli oni wszyscy tego piwa; widzę jasno, że tu nie winien mój niepoprawny Karol. Trzeba mu podać bardzo silną rękę, by go stamtąd wyciągnąć. Tymczasem zawieram układ z babką, by go u siebie przetrzymała do czasu umieszczenia chłopca w bursie.

(dok. nast.)

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

BOHATEROWIE MIŁOSIERDZIA

(z dziejów Misji*)

Bawiąc w Rzymie w jubileuszowym roku 1925, postanowiłam zwiedzić wystawę misyjną w ogrodach watykańskich, gorąco polecaną pielgrzymom. Byłam nieco zblazowana i zmęczona sześciotygodniową włościwą po wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu i, przyznając, szłam na wystawę Misji raczej z obowiązku, ze sceptyczną pobłażliwością.

„Pewno nam pokażą” — myślałam — „całe ściany tablic statystycznych i wykresów, ponure, jak pola lodowe i tropikalne pustynie, upstrzone trupami cyfr; potem dużo, nie mówiących, zdjęć domów misyjnych, grupy nawróconych i dobrze wytresowanych dzikusów, czarne mrowiska murzynie, wykupionych z niewoli za cenę owych zużytych marek, zbieranych przez pensjonarki na całej kuli ziemskiej; trochę wątpliwej autentyczności kostiumów; dużo sentymentu religijnego, kadzidlany posmak męczeństwa — rzeczy czcigodne, zadobrze znane, zanadto udowodnione, aby mogły nas, świeckich sceptyków, wzruszyć i zainteresować”.

Tymczasem już od progu spotkał mnie wstrząsający wyobraźnię zawód. Były tam, prawda, i statystyki, i wykresy, ale jakże porywające wymową milionów, jak bijące w oczy, nawet prostaczków, świetną plastyką symboli, pomysłów, skrótów! Widać było odrazu, że się ma do czynienia z mistrzami psychologii, ze znawcami najgłębszych tajników dusz ludzkich, dusz prymitywnych, dusz, owładniętych aż do dna czarem odwiecznych kultów, magji i zabobonów, wobec których nasza cywilizacja wydaje się dziecinną igraszką, muskaniem powierzchni otchłani skrzydełkami motyla.

Do jakiego stopnia misjonarze umieli sobie zjednać zaufanie ludności tubylczej, tych nieszczęsnych autochtonów, wypieranych ze swych odwiecznych terytoriów, brutalnie wyrzucanych z rodzimego podłoża przez najazd wrogiej im i wstrętnej cywilizacji europejskiej, która razem z dżunglą zazwyczaj skazuje na śmierć i jej mieszkańców — dowodem to nieprzebrane bogactwo przedmiotów kultu, obrzędów i czarów, jakimi z istic królewską hojnością wystawa misyjna olśniewała oczy przybyszów.

Czego tam nie było: piekło chińskie, zobrażowane w szeregu autentycznych jasełkowych scen o wstrząsającym naturalizmie; rzadkie wizerunki Buddy, potworne bóstwa malajskie i fetysze murzyń-

scy; derwisze wschodni i czarownicy polinezyjscy w rytualnych strojach, których bezkarnie nie może oglądać oko niewierne; składanie krwawych ofiar; uczty ludożerców; zabiegi medyczne znachorów; sądy, kary, tortury i egzekucje; sceny myśliwskie, broń, uroczystości weselne; przemysł domowy i zdobnictwo. To, co nam pokazano np. z dziedziny sztuki murzyńskiej na wystawie sztuk dekoracyjnych w Paryżu, było drobiazgiem bez znaczenia wobec rewelacyjnej piękności i oryginalności zbiorów misyjnych, w których każdy niemal eksponat był unikatem, białym krukiem, wylęglą w ciasnocie glinianej chaty murzyńskiej, w zaduchu jurty koczowniczej, czy w mrokach śniegowego domku eskimosa.

A potem z tego dziewiczego lasu prymitywnej fantazji stracono nas aż na samo dno nędzy ludzkiego istnienia: to dział ratownictwa i medycyny misyjnej. W znakomitych zdjęciach i modelach przesunęły się przed naszymi oczami złośliwe postacie trądu, ofiary dżumy, ciała, wyniszczone aż do kości przez głód i żółtą febrę, członki potwornie wzdęte, kończyny wymyślnie pokręcone przez jakieś nieznane nam egzotyczne choroby, wysypki, zmieniające skórę w futurystyczny pejzaż ran, blizn i wrzodów, całe osiedla o gnijących oczodolach wskutek nieuleczalnych zapaleń oczu, śmiertelne ukąszenia węzów, skorpionów i innych jadowitych potworów, makabryczna defilada nieprawdopodobnych kalectw i chorób, a wśród tej, o pomstę do nieba wołającej mizerji ludzkiej, czarnej, cynamonowej, miedzianej, żółtej, czy od krost pstrokatej — śnieżna szata misjonarza, jak plama słoneczna, zabłąkana w mrokach dopustu Bożego.

A co najwięcej tutaj godne jest podziwu, to ta jasnowidząca polityka świętych dyplomatów Chrystusa, którzy w walce o duszę nawet zabobonem nie gardzą, jako atutem — nie naprzekór niemu, ale niejako przezeń torując sobie drogę do tych serc i umysłów dziecinnych, równie bliskich rajowi, jak piekłu.

Misjonarz niczem się nie da zrazić, ani zniechęcić. Nie przeraża go ani istniejący w wielu religjach kult Matki-Dziewicy, ani wiara w Syna Bożego, w Odkupienie przez krwawą ofiarę, w zadośćuczynienie za grzechy po śmierci — te wszystkie punkty styczności z religią objawioną, które dla ateisty mogą służyć za punkt oparcia do podważenia powagi i istoty chrystjanizmu, dla misyjnego bractwa są tylko iskierkami widomej łaski Bożej, z których jego apostołskie technienie zdoła zawsze rozdmuchać płomień miłości Chrystusowej.

A co jest w tych bohaterach miłosierdzia godne

*) Cecylja Walewska: „W słońcu i mrokach Indji” i „W krainie grozy, strachu i cudów przyrody”. Nakład księgarni św. Wojciecha.

już nie podziwu, ale czci, to nietylko gotowość ofiary i męczeństwa, nietylko moc przezwyciężenia strachu śmierci, ale moc przezwyciężenia wstrętu fizycznego. Na fotografiach i eksponatach misyjnych nie widać warstw brudu i pokładów robactwa, z ran nie cieknie ropa, ciała nie cuchną rozkładem. A jednak dusza w człowieku się wzdyga na oddalone nawet podobieństwo tych rzeczy.

Jak człowiek cywilizowany, człowiek biały, przywykły do jakiego-takiego komfortu i czystości, może w tym piekle wytrzymać i nie oszaleć?! — Jak? O tem opowiadają dwie skromne książeczki o dziełach braci i siostr misyjnych, opracowane przez Cecylję Walewską na podstawie ich listów i wspomnień. Jedna z nich opowiada o tytanicznej walce, jaką w krajach podbiegunowych prowadzą Bracia Oblaci z klimatem, żywiołem, zwierzem i gorszym od zwierzęcia okrucieństwem ludzkim. W drugiej przedstawiony jest apostołski żywot Heleny Touvé, zmarłej w 34-ym roku życia wśród trudów katechetki pod skwarem niebem Indyj przedgangesowych.

Te dwie małe książeczki — to prawdziwy skarbiec cudów miłości, ofiary, poświęcenia bez granic. Cytować ich niepodobna: trzeba je poprostu przeczytać w całości, trzeba na parę godzin wzniesić się do obcowania z tymi „nieznanymi żołnierzami“ Chrystusa, których hasłem były słowa św. Teresy: „Cierpienie mija. To, że się cierpiało, zostaje“.

Fakt, że opracowania owych wzruszających żywotów misjonarskich podjęła się znana i zasłużona działaczka społeczna Cecylja Walewska, filar kobiecego pozytywizmu czasów przedwojennych jest objawem krzepiącym, hołdem, jaki trzeźwy umysł składa cudom miłosierdzia i wytrwania, przerastającym granicę i miarę ludzkiego rozumu.

Parabola, po jakiej dusze szlachetne dążą w nieśkończoność, utonąć zawsze musi w najczystszej źródle wszechogarniającej Miłości...

Z KSIĄŻEK

Tomasz Hardy: „Szafirowe oczy“ (Bibljotheka Groszowa). Przekład J. Zydlerowej.

Powody wszelkich konfliktów miłosnych są od wieków te same, w życiu i w literaturze: zazdrość, podejrzliwość, brak wzajemności, zdrada... Nietylko różnorodne wzajemne ustosunkowanie się tych składników stwarza odmienne sytuacje, lecz nawet identyczne sytuacje, w ujęciu różnych twórców, są czemś zawsze nowem — odkrywają zawsze jeszcze jakąś nieznana dotychczas komórkę ludzkiego serca.

Tomasz Hardy występuje w „Szafirowych oczach“ właśnie jako wnikliwy i subtelny znawca serc. Tematem powieści jest miłość pięknej, inteligentnej dziewczyny do dwóch mężczyzn. Pierwszy — to naiwny, młody człowiek, który widzi w swej narzeczonej doskonałość pod każdym względem, zaś panna — wyzyskuje bezwiednie swą bogatszą indywidualność, ażeby uczynić z młodzieńca swego niewolnika i pokornego sługę.

Kiedy Elfryda (imię bohaterki) poznaje innego młodego człowieka, który znów z kolei jej imponuje swym intelektem — porządkowuje się całkowicie jego indywidualności, gotowa poświęcić wszystko dla tej miłości. Teoretyczny stosunek do życia i ambicja bohatera, dążąca do tego, ażeby życie kochanej przezeń kobiety było, od kolebki, jedynie oczekiwaniem, aż pojawi się właśnie on — doprowadza do tragicznego konfliktu, którego ofiarą pada Elfryda.

Psychologicznej prawdy tego dramatu nie zmieniają ramy, które dziś możemy uważać za „stylowe“ (epoka wiktoriańska). Chociaż za tło służy tylko skromny odcinek życia angielskiej wsi, wypada ono niemniej plastycznie, pozwalając się zorientować w układzie ówczesnych stosunków społecznych.

Przekład J. Zydlerowej poprawny.

S. H.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA.

G. K. Chesterton: „Niedowiarstwo księdza Browna“ — przekład autoryzowany.

Br. Orczy: „Eldorado“ — powieść, przekład autoryzowany Pauliny Ledóchowskiej.

Marjan Pachucki: „Biała Margerytka — Malgorzata Sinclair“.

Cecylja Walewska: „W słońcu i mrokach Indyj“ — dzieje i prace Sióstr-Misjonarek.

Cecylja Walewska: „W krainie grozy, strachu i cudów przyrody“ — dzieje Braci Oblatów na Misjach pod biegunem.

Prof. Franciszek Spirago: „Prawda o Teresie Neumann z Konnersvenh“ — przekład autoryzowany z 3 rycinami.

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“.

Jakób Wasserman: „Ku miłości“ — powieść — przełożyła Marja Kreczowska.

Jakób Wassermann: „Powiew zmysłów“ — powieść — przełożyła Marja Kreczowska.

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA“.

Wacław Sieroszewski: „Pan Twardost Twardowski, czarnoksiężnik polski“ — powieść historyczna — dwa tomy.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOPISARZY POLSKICH.

Mieczysław Smolarski: „Na ziemiach polskich bój“ — powieść z czasów wielkiej wojny.

BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE.

M. Smolarski: „Ogród przed burzą“ — powieść.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Jenufa“ — opera Janaczka w Teatrze Wielkim.

Opery czeskie, które zyskały rozgłos w świecie, mają przeważnie tło — zarówno dramatyczne, jak i muzyczne — oparte na motywach ludowych, które, jak wszystkie zresztą tematy słowiańskie, są najwdzięczniejszym materiałem dla melodyki wokalne, solowej, chóralnej, oraz rytmiki tanecznej. Na bezpośredniości oddania prostoty motywów ludowych w operze, w śpiewie, w ramach ozdobnej, ale zawsze stylowej faktury orkiestrowej, polega swoiste piękno dramatu z prawdziwego chłopskiego zdarzenia.

„Jenufa” Janaczka jest właśnie operą, która zdobyła powodzenie nieklamany realizmem ludowego dramatu, ujętym w naturalną, pełną prostoty formę muzyczną, odbiegającą od szablonu operowego, szczególnie w partjach wokalnych, z których każda nie jest dla siebie całością, ale częścią frazy muzycznej, związanej dialogiem, o silnym napięciu dramatycznym. Ponura treść „Jenufy” mało miejsca poświęca chórom i tańcom, tak charakterystycznym dla oper słowiańskich; akcja rozpoczyna się trochę wejściem chóru w pierwszym i trzecim akcie i scenami tanecznymi.

„Jenufa” przykuwa słuchacza realistyczną siłą tragicznych wydarzeń na scenie. Muzyka tej opery nie uderza w ton patosu, niema w jej przeprowadzeniu orkiestrowych efektów, któreby programowo tłumaczyły bieg akcji scenicznej. Jest raczej spokojna, nawet jednostajna w rytmie i powtarzanych jakby z uporem interwałach i zajmuje słuchacza, niezależnie od pewnej monotonii w barwie orkiestrowej, której zadaniem jest podkreślenie silnego wyrazu dramatycznego słowa.

Pomimo braku błyskotliwej instrumentacji, muzyka „Jenufy” jest napisana z maestrią, która przejawia się w solowym traktowaniu instrumentów drzewnych i smyczkowych. Te jednakże efekty nie wybijają się na pierwszy plan opery; wartością „Jenufy”, która na słuchacza oddziałuje bezpośrednio, jest — ekspresja słowa. Nie śpiewu, bo mało w tej operze jest do śpiewania — ale słowa. Z wyjątkiem „Jenufy”, w której śpiewie jest najwięcej spokoju, a w pięknej modlitwie dużo rezygnacji, wszystkie inne partje są nastrojone na najwyższy ton dramatyczny, oparte o górny rejestr głosu, a wymagający od śpiewaków największego wysiłku.

Wszystkie partje „Jenufy” są napisane na głosy dramatyczne. Pomimo, że obsada głosów tenorowych nie odpowiadała tym warunkom, wystawiono „Jenufę” w Teatrze Wielkim bardzo dobrze, z dużym nakładem pracy i staranności. Szlachetnie i jasno śpiewała „Jenufę” Wermińska, która pełnię przepięknego głosu daje zawsze w średnicy, ale niezupełnie pewnie zahacza o tony sopranowe. Doskonale wywiązała się z swego zadania Budziszewska. Muzykalnie śpiewali Szereszewska i Dobosz. Świetna reżyserja Zalewskiego czuwała nad ruchliwością wielkich obrazków i logicznie podzieliła zadania śpiewaków. Orkiestra pod dyrekcją Stermicha współzyla z każdym tonem, śpiewanym na scenie.

„Jenufa” Janaczka miała podczas wojny w Wiedniu duże powodzenie. Ponieważ libretto obraca się w skromnym, czeskim środowisku ludowym i wyłącza wspaniałość wystawy, powodzenie „Jenufy” należy przypisać jedynie dramatycznym wartościom muzyki.

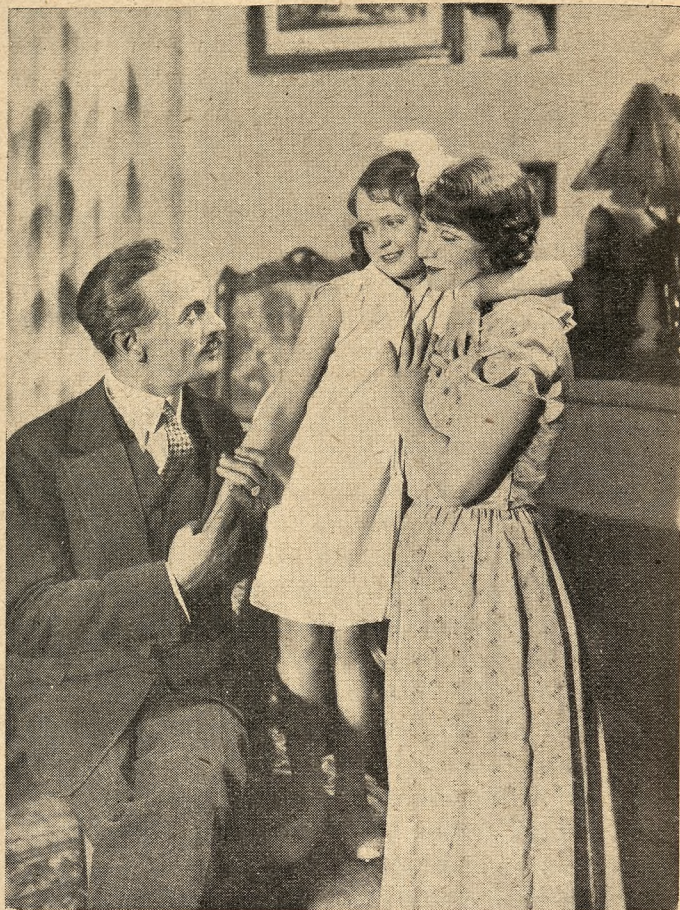
P. L.

Z TEATRÓW

TEATR MAŁY.

„Wilki w nocy” — komedia w 3-ach aktach Tadeusza Rittnera, dekoracje Stanisława Śliwińskiego, reżyserja Stanisława Stanisławskiego.

Rittner był tą wyjątkową organizacją twórczą, która łączyła w sobie trzy indywidualności: marzyciela, ironisty i doskonałego majstra scenicznego. Te trzy osoby rzadko były z sobą w idealnej zgodzie. Z za ramienia marzyciela z szatańskim uśmiechem zerkał satyr, — nieubłagana technika sceniczna pętała skrzydła poety i nakładała hamulec na płasy fauna. Czasem te trzy oblicza przeglądały jedno przez drugie, jak w zdjęciach kinowych, i nigdy widz i czytelnik nie miał pewności, z którym Rittnerem ma do czynienia, który jest żywy naprawdę, a który jest tylko zjawą znikomą. Stąd płynący z dzieł Rit-



Teatr Mały: „Wilki w nocy” Tadeusza Rittnera. — Władysław Grabowski, Renia Borzynianka i Marja Modzelewska.

nera niesamowity niepokój, jaki ogarnia człowieka zawsze na granicy snu i jawy.

Psychologja podświadomości, artystycznie przeczuty Freudyzm — oto podłoże, na którym Rittner wznosi lotne konstrukcje swoich sztuk, wypełnione powietrzem natchnienia.

„Wilki w nocy” — to jeden z najbardziej typowych utworów znakomitego dramaturga. Bogactwo zagadnień, tu poruszonych, wymagałoby napisania nie krótkiej recenzji, ale kilku książek naukowych.

Więc naprzód problemat uczciwości i honoru, potem zestawienie dwóch wzajemnie przekreślających się światów: ludzi t. zw. porządných, normalnych i cyganerii; ludzi standaryzowanych, zautomatyzowanych, posługujących się szablonem — i indywidualistów, kierujących się odruchami; moralność małomieszczańska i etyka niezależna, wreszcie problemat kobiecości: kobieta-matka i kobieta-miłośnica. Same antynomje, same zgrzyty, same krótkie spięcia sytuacji, aż groteskowych w swoim tragikomizmie, i ciągle te dwie maski poety, spoglądające na nas z za kulis, a ponad wszystkim moc sugestywnego talentu, która budzi w nas wiarę w niewątpliwą przeżyłość nieistotnych tego doskonałego teatru.

Już pierwsze sceny ekspozycji zarzucają na wszystkie postacie komedji takie pętle konfliktów, że widzowi robi się duszno. Jedynym jego pragnieniem jest te węzły, które go oplątały wspólnie z bohaterami sztuki, rozluźnić. Rodzi się współzycie duchowe tych obcych sobie dotychczas ludzi: publiczności i aktorów; złoty most, przerzucony między Julją i Morwiczem, staje się drogą porozumienia między rozdawcą, a odbiorcami poezji. W tym bezpośrednim kontakcie niema miejsca na niedomówienia, załamania, tony fałszywe. Co miało wzruszać — wzrusza, co miało śmieszyć — śmieszy, choćby przez łzy. To,

czego poeta nie mógł odnaleźć w sobie: harmonja — zdobywa przez zetknięcie z pulsującym tętnem żywego teatru.

Do osiągnięcia pełni artystycznego uzewnętrznienia przyczyniła się w dużym stopniu znakomita gra artystów: Przybyłko-Potockiej, Modzelewskiej i Stanisławskiego. Modzelewska brała żywiołową bezpośredniością stuprocentowej kobiety, intuicyjnie przeżywającej „kompleks dziecka”. Gra Przybyłko-Potockiej była mistrzowskim studjum zmatowianych posunięć, stuszowanych gestów i zagadkowych uśmiechów zawodowej miłośnicy, której zdumiewająca trzeźwość graniczy z cynizmem.

Stanisławski pojął swoją rolę nawskroś naturalistycznie, osiągając w swej koncepcji rezultat właściwy. Natomiast Grabowski sprawiał wrażenie niezupełnie zdecydowanego. Miał za dużo błazeńskiej płochliwości, jak na prokuratora, złapanego w potrzask własnych grzeszków. Daczyński w roli Morwica robił, co mógł, aby tętnąć życie w ciału cygana-marzyciela i cierpiętnika. Cóż zrobić, że mimowoli myślało się o Osterwie, jako o idealnym odtwórcy tej roli?—Ślubicka była nieposzlakowane drewnianą radezynią, a mała Renia Borzynianka ze swobodą wytrawnej aktorki ziewała i zasypiała na scenie.

Reżyserja może za mało uwydatniła niesamowitość „Wilków w nocy”. Taki rasowy dramaturg, jak Rittner, wymaga swoistego stylu. Nie wolno go nałamywać do cudzego pionu.

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

UCZCZENIE DZIESIĘCIOLECIA ŚMIERCI HRABIANKI CECYLJI ZYBERK-PLATERÓWNY.

Stowarzyszenia: Odrodzenie, Młode Ziemianki, Katolicki Związek Polek i Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży urządziły w dn. 19 stycznia r. b. akademię z powodu dziesięciolecia śmierci hrabianki Cecylji Zyberk-Platerówny. Zmarła, znana pedagogiczka i założycielka szkoły dla dziewcząt, oraz szkoły gospodarczej w Chyliczkach, prowadziła ponadto szeroką akcję wychowawczą wśród młodzieży akademickiej męskiej. Podkreślił to w swem przemówieniu dyr. Bronisław Żalusi, stwierdzając, że zmarła z całą jasnością zdawała sobie sprawę, iż o charakterze społeczeństwa i przyszłości narodu decydować będzie charakter i wychowanie młodzieży męskiej. Organizowała więc pomoc dla tej młodzieży szkół średnich i akademickich, zakładając Tow. Przyjaciół młodzieży, kształcąc katolickich działaczy społecznych w t. zw. kołach etycznych, grupujących 30 — 40 członków, i młodzież szkół średnich w kołach rodzinnych. Stowarzyszenia te, grupujące się przy czasopiśmie „Prąd”, prowadziły seminarja wychowawcze i naukowe z referatami z zakresu teologii moralnej, teologii dogmatycznej, zagadnień pedagogicznych i kształcenia woli. Nadto kółka posiadały t. zw. monitorów, obowiązanych wskazywać członkom ich usterki moralne; repliki ze strony członków były niedopuszczalne.

Inicjatorka tej akcji zmuszona była, ze względu na ówczesną sytuację polityczną, pozostać w ukryciu. Nie była znana nawet, jako autorka „Na przełomie”, i „Ideal młodzieży”, dzieł, traktujących o odrodzeniu młodzieży w duchu moralnym i katolickim; wpływ jednak tych dzieł i pracy Cecylji Zyberk-Platerówny był ogromny i pod jej hasłami działają dziś liczne rzesze katolickiej i narodowej młodzieży akademickiej.

Z inicjatywy zmarłej założony też został Katolicki Związek Polek, znany dziś z szerokiej akcji na terenie całej Polski.

POWIETRZA I SWOBODY DLA DZIECI.

W niedzielę ubiegłą odbył się w Warszawie wiec rodziców, w sprawie zaradzenia brakowi ogrodów i miejsc wypoczynkowych dla dzieci stolicy. Położenie dzieci w parkach i ogrodach nie jest do pozazdroszczenia: nie mogą bawić się na trawnikach, każda gra, każdy niemal ruch żywszy musi być hamowany z obawy, aby piłka nie wpadła na kwietnik; nie ma również żadnych specjalnych urządzeń, jak altany, chroniące od deszczu, krany z dobrą wodą do picia, przyrządy do mycia rąk i t. p. We Francji np. nagrodzono obecnie projekt specjalnego ogrodu dziecięcego, u wejścia do którego znajduje się szereg specjalnych ubikacyj, zaopatrzonych we wszystkie urządzenia, potrzebne przy dłuższem przebywaniu dzieci w ogrodzie. U nas niema dotychczas nawet samych ogrodów w dostatecznej ilości. Prócz parków dla dorosłej publiczności, jest w Warszawie tylko jeden ogród Jordanowski i parę ogródków Rau'a — kropla w morzu dla rzeszy dzieci warszawskich. W miastach prowincjonalnych sytuacja jest ta sama, lub gorsza.

Na sprawy te zwróciła uwagę jeszcze w jesieni r. ub. jedna z korespondentek „Bluszcza”, przytaczając przykłady z Siedlec. Przedostatni numer „Dziecka i Matki” zamieścił również obszerny artykuł, omawiający prawa dzieci w ogrodach miejskich. Kwestja jest żywotna, to też wiec rodziców zgromadził wielką ilość osób i dyskusja była bardzo ożywiona. Rezolucje uchwalono następujące:

Przystosować istniejące już parki i ogrody do potrzeb dzieci przez:

a) ustawienie higienicznych kraników do picia wody i mycia rąk, higienicznych klozetów, zegarów, termometrów, barometrów, ochron przed deszczem, ogrzewanych hal do przewijania niemowląt, udostępnianie dzieciom specjalnych trawników;

b) poczynienie inwestycji, umożliwiających wdrażanie dzieci do wysiłku fizycznego, jak: zjeżdźalnie, huśtawki, kołobiegi, ślizgawki;

c) wydzielenie terenów dla dzieci kokluszowych;

d) powołanie dyżurujących higienistek społecznych.

Nadto pożądanę jest zorganizowanie jaknajwiększej ilości nowych ogrodów, boisk i zieleńców, zwłaszcza w dzielnicach miasta, pozbawionych ogrodów, i na peryferjach, oraz uwzględnienie specjalnych ogrodów dla dzieci w planach regulacyjnych przy budowie nowych dzielnic.

ZBIÓRKA NA INSTYTUT RADOWY.

„Komitet Daru Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie” wraz z „Komitetem Organizacji Kobięcych”, zjednoczonych dla wykończenia Instytutu Radowego im. Marji Skłodowskiej-Curie” zawiadamiają wszystkich mieszkańców Warszawy, że między 1 a 10 lutego odbędzie się po wszystkich domach ogólna kwesta na Instytut Radowy dla zwalczania raka.

Instytut ten, który będzie nosił imię Marji Skłodowskiej-Curie, powstaje jako dar dla niej od całego polskiego społeczeństwa. Wszyscy zatem powinni wziąć w nim udział. Każdy mieszkaniec Warszawy powinien złożyć choćby drobną ofiarę na listę składkową, która zostanie mu przedstawiona między 1 a 10 lutego przez dozorcę domu.

PIERWSZE POŚREDNICTWO PRACY DLA RODZIN POLICJANTÓW.

P. minister pracy i opieki społecznej udzielił Stow. „Rodzina Policyjna” pozwolenia na otwarcie biura pośrednictwa pracy. Mieści się ono przy Al. Jerozolimskiej 12 (tel 109-86), czynne jest codziennie od 5 — 7 po poł., z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Jest to pierwsze w kraju pośrednictwo pracy w „Rodzinie Policyjnej”. Korzystać zeń mogą wyłącznie członkinie stowarzyszenia.

WYBÓR KOBIETY NA WAŻNE STANOWISKO.

Na odbytym ostatnio w Paryżu zjeździe delegatów Międzynarodowego Instytutu Współpracy umysłowej, przewodniczącą zjazdu wybrana została jednogłośnie kobieta, p. Helena Vacarescu, delegatka rumuńska. Instytut współpracy umysłowej, prowadzący bardzo szeroką akcję, do którego należą wybitne osobistości ze świata wiedzy, nauki i polityki, jest instytucją o wielkiem znaczeniu, to też wybór kobiety na przewodniczącą zjazdu, który zgromadził delegatów z 52 krajów, jest znamienitym znakiem liczenia się z powagą i stanowiskiem kobiet na terenie pracy międzynarodowej.

PRZYKŁAD, GODNY NAŚLADOWANIA.

Zasłużony w obronie spraw zawodowych i długoletniej pracy społecznej Związek Polskich Urzędniczek Państwowych we Lwowie podjął obecnie ważne zadanie: budowę domu wypoczynkowego dla swych członków. Kobiety, wyczerpane pracą zawodową, połączoną zwykle z obowiązkami domowymi, potrzebują paru tygodni wytchnienia w warunkach materialnych, nie obarczających zbyt ciężko bardzo zwykle skromnego ich budżetu. Zadanie to spełnić ma własny dom wypoczynkowy, przedsięwzięcie czysto społeczne, nie obliczone na zyski.

Rząd ofiarował związkowi plac pod budowę domu w Kuźmieńcu, oraz część budulea, potrzeba jednak dużo jeszcze, aby całość doprowadzić do końca. To też Związek wzywa wszystkie kobiety do propagandy swych zamierzeń i składania ofiar. Przyjmuje je Komitet budowy domu wypoczynkowego dla urzędniczek państwowych we Lwowie (ul. Sokoła 1 p.).

SPORT KOBIECY W JAPONII.

Obok sportsmenek, używających kostiumów europejskich, jakże oryginalnie wyglądają japonki, uprawiające jazdę na rowerze w barwnych kimonach. Są one w każdym razie, poza malowniczością, lekkie i wygodne.



Japonki jeżdżą na rowerze w stroju narodowym.



Księżniczka Juljana holenderska.

PRYSZŁA KRÓLOWA HOLANDJI WYCHODZI ZAMAŻ.

W najbliższym czasie w sferach panujących zawarte będzie nowe małżeństwo: księżniczki Juljany holenderskiej z księciem niemieckim Wilhelmem Erbach-Schoenberg. Księżniczka Juljana posiada aż trzy doktoraty uniwersytetu w Leodjum: prawa międzynarodowego, literatury i filozofji, włada licznymi językami europejskimi, a obecnie uczy się chińskiego i japońskiego. Do ukończenia studjów prowadziła przyszła królowa Holandji życie skromnej, zapracowanej studentki, biorąc zresztą udział i w pracy społecznej, oraz opiekując się licznymi instytucjami dobroczynnymi.

BACZNOŚĆ, PRZYSPOSOBIENIE WOJSKOWE!

Rząd Sowiecki wprowadził dla kobiet przymusową służbę wojskową. Dotychczas istniały w armji czerwonej oddziały kobiece, były one jednak tylko ochotnicze. Obecnie służba będzie obowiązkowa. W armji otwarte zostaną specjalne kursy wyszkolenia kobiet, które przygotowywane będą do służby łączności, radja i telefonów.

Wszystkim czytelniczkom, zapytującym o dalszy ciąg noweli „Wieczór wigilijny z ogłoszenia“, pomieszczonej w dodatku powieściowym do Nr. 51 i 52 „Bluszczu“ z r. z., donosimy, że nowela ta została ukończona w Nr. 52. Intencją autorki było pozostawienie sytuacji niejako w zawieszeniu. Podniecona jednak zainteresowaniem czytelniczek, towarzyszącem jej debiutowi literackiemu, autorka ma zamiar opowiedzieć o dalszych losach swej bohaterki w następnej noweli.

WIĘCEJ SPOKOJU I POGODY

Chorobą współczesnego życia jest nieustający niepokój, ciągła gorączka jutra i nieumiejętność zatrzymania się na radościach dnia dzisiejszego.

Współczesne kobiety, a może wogóle współcześni ludzie, nie są nigdy zadowoleni, dlatego właśnie, że zbyt gorączkowo szukają w życiu zadowolenia. Nawet najbardziej pomyślnie urzeczywistnienie ich pragnień i zamiarów nie wydaje się im nigdy definitywne, żyją wciąż w oczekiwaniu jakiejś nadzwyczajnej przyszłości, lub też z westchnieniem żalu wspominają przeszłość, a nie potrafią cieszyć się i żyć tą dobrą chwilą, która jest. I w ten sposób wytwarzają dokoła siebie atmosferę ciągłej prowizoryczności, w nerwowym pośpiechu szukają wciąż czegoś lepszego, czegoś innego — chcą zmiany — wiecznie i ciągle zmiany.

I to gorączkowe tempo współczesnego życia jest główną przyczyną chorobliwej nerwowości większej części dzisiejszych kobiet. Musimy więc same w sobie znaleźć źródło uspokojenia, założyć cugle na rozbrykane nerwy, zwalczyć ciągle niezadowolenie z siebie i z życia, zdobyć równowagę ducha i jasny, pogodny uśmiech.

Zbyttnia nerwowość i ciągle niezadowolenie wpływa ujemnie na wygląd — jest powodem przedwczesnych zmarszczek i brózd, zgarbionych pleców, żółtej cery, oczu bez blasku i stałego uczucia przemęczenia. Kobieta nerwowa zatruwa życie nie tylko sobie, ale równocześnie całemu swemu otoczeniu. Mąż, wracając do domu po kilkugodzinnej, wytężonej pracy biurowej, pragnie znaleźć w domu atmosferę spokoju i pogody, widzieć twarz jasną, witającą go miłym uśmiechem.

Jeśli zamiast tego dostanie się zaraz na wstępie w krąg niezadowolenia, zdenerwowania i narzekania, to jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że będzie się starał czempnąć uciec z tego domu, aby gdzieś indziej znaleźć pożądany spokój i trochę wesołości.

Kobieta bardzo często rozkoszuje się sama swojemi „chorem nerwami” — służą jej one, jako broń, gdy chce zdobyć urlop u swego pracodawcy, lub też futro u swojego męża. Lecz broń ta jest, niestety, obosieczna, gdyż zwierzchnik daje wprawdzie urlop, lecz zniechęca się równocześnie do swej „nerwowej” pracowniczki, a mąż zniecierpliwiony godzi się na wszystko, ale zarazem dom, w którym panuje wieczne niezadowolenie, staje się dla niego tylko miejscem przymusowego i możliwie najkrótszego pobytu, towarzystwo żony przykre i uciążliwe, a ucieczka z domu jedyną chwilą wytchnienia.

Kobieta, pracująca zawodowo, wyczerpuje zbyt szybko swoje nerwy, gdyż wkłada w swoją codzienną pracę za wielki zasób energii. Praca mężczyzny jest naogół bardziej automatyczna, a tem samem mniej nerwowa — być może dlatego, że mężczyzna od dłuższego już czasu pracuje na polu zarobkowym, a tresura wieków wpłynęła na zmechanizowanie jego pracy.

Może też przyczyna leży w tem, że pole pracy kobiecej jest bardziej rozległe i różnorodne: — żaden mężczyzna nie jest równocześnie adwokatem, gospodynią i niańką — a kobiecie zakres działania obejmuje często te trzy kontrastowo różne od siebie sfery.

Mimo to jednak jest rzeczą pewną, że przez racjonalną gimnastykę nie tylko fizyczną, ale zarazem

psychiczną — gdyż nerwy mają tak samo swoją muskulaturę, którą trzeba tylko odpowiednio wyrobić — można zdobyć tak bardzo w dzisiejszych czasach pożądany spokój, równowagę nerwów i pogodę.

Racjonalna, kilkuminutowa gimnastyka rano, przy możliwie największym dopływie świeżego powietrza, codzienne zmywanie zimną wodą i dalekie spacerowanie są rzeczą zbyt znaną, żeby się o nich rozpisywać.

Jednakże, jeżeli w ciągu dnia opadnie nas zmęczenie, które przeważnie ma swoje podłoże w nerwach, to bardzo wskazanem jest — naturalnie mówimy tu tylko o kobietach, pracujących w domu — położyć się czempnąć na kilka minut w zupełnym spokoju, zamknąć oczy i starać się możliwie nie myśleć o niczem, tak, aby nastąpiło zupełne odprężenie nerwów, a równocześnie i mięśni.

Po krótkiej chwili takiego odpoczynku nerwy wracają znów do normalnego stanu.

Lecz również kobieta, pracująca w biurze, może w czasie pracy pozwolić swoim nerwom na zupełny odpoczynek. A mianowicie: jeśli poczuje, że ogarnia ją wielkie zmęczenie, wówczas dobrze jest głowę opuścić zupełnie na piersi, ramiona zwiesić bezwładnie po obu bokach ciała, aż stos pacierzowy ułoży się w znak zapytania. Potem powoli się wyprostowywać, zaczynając od najniższego kręgu i starając się przejść kolejno przez wszystkie kręgi do najwyższego, aż plecy wyprostują się znowu zupełnie, a szyja robi wrażenie, że opiera się na wysokim kołnierzu. I w takiej pozycji należy kontynuować dalszą pracę aż do następnej fali zmęczenia.

Taka częściowa gimnastyka, powtórzona dwa lub trzy razy w ciągu pracy, wpływa bardzo korzystnie na cały ustrój.

Jest to może w pewnym stopniu postulat teoretyczny, bowiem nie wszystkie warunki pracy umożliwiają nawet ten chwilowy odpoczynek.

Dobrze jest również, w razie przemęczenia, zamknąć na chwilę oczy i odetchnąć kilka razy powoli i bardzo głęboko.

Wogóle każda kobieta, dbająca o swoje nerwy i dobry wygląd, powinna w najbardziej ruchliwym domu mieć swój własny kąt, w którym mogłaby się raz na dzień odosobnić zupełnie na dobrą godzinę.

Żaden telefon, choćby najważniejszy, żadne listy, dzieci, wizyty — nic nie powinno wówczas mieć do niej dostępu. Wygodny szeslong i krótka drzemka dadzą zupełny odpoczynek i pozwolą jej znowu być pogodną i uśmiechniętą przez resztę dnia.

Pory posiłku powinny również być okresem zupełnego wypoczynku. Wystrzegać się należy zbytniego pośpiechu i przykrych rozmów. Tematy powinny się obracać dokoła spraw możliwie obojętnych, omawianie wszelkich ważniejszych kwestyj życiowych należy odłożyć na chwilę późniejszą.

Chimeryczność i zmienność kobiet, być może, ma w sobie dużo uroku i swoistego wdzięku — czyż nie czas jednak skończyć już z tą kokieterią „odrębności” i być poprostu najlepszym przyjacielem męża, jego towarzyszką w dobrej i złej doli? Radosne chwile odczuwać radośnie i cieszyć się niemi, że są, a ciemne chwile nieuniknionych trosk, rozjaśniać pogodnym uśmiechem.

Więcej spokoju i pogody — a o ileż miłsze będzie wówczas życie!

H. Latoszyńska.

O SUKNIACH DŁUGICH, KRÓTKICH I MODZIE WOGÓLE WYJAŚNIENIE FACHOWE

„Amicus Plato, sed magis amica veritas”.

Ogromnie przykro jest sprzeczać się z kimś, kogo się lubi osobiście, literacko podziwia! Czytając artykuły pani N. J. („Panowie krawcy — na swoje miejsce!”) i p. M. H. Szpyrkówny („Wstyd!”), aż mi się płakać chciało z irytacji, że ani rusz nie mogę się z niemi zgodzić i że muszę zabrać głos i zdeklarować się w tej sprawie po stronie opozycji.

Dlaczego muszę? Przecież, gdybym za każdym razem, kiedy przeczytałam coś niezgodnego z moją opinią, zabierała głos w druku — nie starczyłoby miejsca dla moich protestów na łamach całego „Bluszcza”, a i „Kobieta” mogłaby się okazać zbyt ciasną. Czemuż więc właśnie czuję się w obowiązku krzyżować pióro, niby kopję, w obronie Pani Mody? Smutny to obowiązek! Pani, której służę uczciwie i wiernie, nie jest, niestety, największym mem umiłowaniem! romans nasz jest raczej dziełem przypadku, niż wolnego wyboru. Lecz o tem — sza! Pani Moda przepasała mnie swą szarfą, od lat czterech noszę jej barwy wytrwale, a nie bezinteresownie (co za czasy!! człowiek żyje z tego, że jest rycerzem Pani Mody!), nie wolno mi więc stchórzyć. Zaczynam!

Zaczynam dwornie, jak sam pan Buchman: „Preopinanci moi w słowach swych wymownych... dyskusję na wyższe wzniesli stanowisko”. Na tak wysokie, zaiste, że gołem okiem nie mogę dojrzeć: czy chodzi im o zwalczanie obecnej mody długich sukien, czy też mody, jako takiej — mody wogóle?

W pierwszym wypadku uprzedzam lojalnie, że „krótkość czasu będzie na zawadzie, że się nie stanie zadość Buchmanowej radzie”. Zanim się założy Ligę i do układania statutu „komisję stosowną wyznaczyć” — moda obecna z nową zamieni się w starą. Z dzisiejszej stanie się wczorajsza. A więc mielibyśmy Ligę do walki z modą, która minęła. Czy też może z „Tą, która nadchodzi”? Lecz jakże mamy ją zwalczać, skoro nie wiemy, jaka będzie?

Tak sama ze sobą przedyskutowawszy, dochozę do wniosku, że przedmówczyniom moim chodzi zapewne raczej o walkę z modą, jako taką, z zawrotnym tempem jej zmian, które sprawia, że suknie obstalowane nieraz wychodzi z mody, zanim obstalunek zdąży wykonać nie grzeszącą zbytnią punktualnością, warszawska krawcowa.

Tak, to jest istna plaga! — Co!? Kto to powiedziało!? To nie ja, to echo! ja przecież bronię! I dla tego zapowiadam groźnie:

— Czy wiecie panie, z kim zaczynacie walkę?! Z Modą, potężną władczynią, której armję i finanse tworzy wielki koncern krawców, będący w najściślejszym sojuszu z koncernem fabrykantów włókienniczych. Może mi kto powie, że władczyni jest jeno bezwolnym, a kruchem cackiem w chciwych łapach swych ministrów? Być może, mnie tego potwierdzać nie wypada. To tylko mogę i muszę powiedzieć, że ci podstępni słudzy, czy władcy (jak kto woli) Pani Mody posiadają w swej grze atut decydujący — pieniądze. A za pieniądze można kupić wszystko, nawet talent.

Bo sprawiedliwość każe przyznać na dobro tych paryskich, żerujących na modzie rekinów, że umieli oni ocenić wartość rynkową talentu. Wielcy krawcy paryscy opłacają hojnie genialnych rysowników. I tu właśnie tkwi sedno paradoksalnego zjawiska, któremu słusznie się dziwi p. M. H. Szpyrkówna, że każda nowa moda wydaje się piękniejszą od wczorajszej. Bo przecież ten ostatni model, reprezentujący najnowsze tendencje Pani Mody — to kreacja natchnionego pendzla jakiegoś Saschy Rzewuskiego, czy Foudjity, z pietyzmem wcielona w jedwab i aksamit przez mistrza Patou lub Chanel’a, no i prezentuje ją żywy manekin, cud-dziewczyna, wyszukana wśród tysiąca najzgrabniejszych i najurodziwszych. A moda wczorajsza? To przecież to, co oglądamy wszędzie dokoła: w biurze, na ulicy, w kawiarni... dawne kreacje mistrzów, zniekształcone przez amatorską interpretację domorosłych krawcowych i noszone przez rozmaite kobiety, w najlepszym razie szare i niepozorne.

Tak więc moda jutrzejsza zawsze z łatwością zwycięży modę wczorajsza. Przysadzista pani bankierowa entuzjastycznie nabywa toaletę, którą prezentowała smukła modelka; anemiczna biuralistka rozplaszcza sobie noskę na szybie, za którą stoją wyróżnione lalki w cudnych i niedostępnych modnych szatach.

Mam wrażenie, że może największa potęga świata współczesnego — potęga pieniądza — okazałaby się bezsilną, gdyby armja Pani Mody nie miała sojuszników w wyzyskiwanych przez siebie kobietach. Bo, ostatecznie, ofensywa długich sukien i krótkich stanów trwa już od dwóch lat. Kobiety upierały się dość długo przy „wygodnej modzie”. Aż przyszedł moment znudzenia, zalety stały się naraz wadami. Piękna pani nie chciała dłużej cierpieć widoku swej pokojówki w identycznej garsonce. Bo moda jest w samym swem założeniu niedemokratyczna. Rozkosz posiadania ostatniego paryskiego modelu dopóty jest dla elegantki rozkoszą, dopóki nie posiadają go wszystkie jej przyjaciółki. Brzydkie to, ale prawdziwe. I tę, niekoniecznie szlachetną, stronę charakteru kobiecego wygrywają umiejętnie krawcy, podsuwając pięknym paniom coraz nowe, „nigdzie dotąd niewidziane”, modele.

Przechodzę do wniosków praktycznych. Mam wrażenie, że tworzenie „Związku zwalczających modę” — dzisiejszą, czy modę wogóle — nie ma racji bytu. W pierwszym wypadku cel byłby zbyt błahy, w drugim — zbyt daleki i trudny do osiągnięcia. Natomiast każda rozsądna kobieta musi się zdobyć na indywidualny wysiłek wyznaczenia w swem życiu Pani Modzie miejsca, zgodnego z jej (kobiety, nie Pani Mody) budżetem, sytuacją socjalną, rodzajem zajęć, wiekiem i urodą. Każdy chyba powinien rozumieć, że inną rolę musi odgrywać moda w życiu gwiazdy filmowej, inną w życiu małżonki dygnitarza ze sfer dyplomatycznych, a jeszcze inną — w życiu panienci, piszącej na maszynie. Demokratycznie, czy nie, ale to jest tak.

I tak samo — mimo zdrowej i opartej na naukowych podstawach tendencji do zniwelowania różnic wieku — żadna, mająca poczucie humoru, babka nie powinna się przebierać w suknie dorosłej wnuczki, niezależnie od tego, czy są one, zgodnie z modą, długie czy krótkie.

A teraz jeszcze parę słów o modzie bieżącej, o tej, która — bo ja wiem! — może w Paryżu już przemija.

Z ręką na sercu śmiem twierdzić, że nie jest ona, narażenie, tak straszna. Suknia rozsądnie krótka na dzień (wątpię, aby ktoś żałował sukienek, nie sięgających kolan), cokolwiek dłuższa na popołudnie i zupełnie długa wieczorem. Doprawdy, nie widzę w tem nic takiego, coby mogło cofnąć cywilizację o kilka wieków wstecz. Suknie wieczorowe zawsze były tak odmienne od sukien dziennych, jak różną jest atmosfera balowa od atmosfery pracy zawodowej, lub zajęć gospodarczych. Sama pani N. J. przed rokiem, zdaje się, znalazła arcydowcipne, wielokrotnie przezemnie cytowane określenie, że „kobieta współczesna, idąc na bal, przebiera się w krynolinę”. Takim samem przebraniem wieczorowem jest obecna powłóczysta tualeta, więc o co właściwie chodzi? Suknia długa i obcisła jest niewątpliwie jeszcze lepiej dopasowana do ścisku współczesnych bali i dancinów, niż krynolina, również długa, a prócz tego szeroka i obawiająca się zgniecenia. Zresztą, gdyby Pani Moda wpadła na kaprys nakazania powrotu krynolin, znacznie szerszych, niż zeszłoroczne — nie wątpię, że znalazłoby się wiele wiernych jej wyznawczyń, które pośpieszyłyby za drogą pieniądze, w tajemnicy jedna przed drugą, obstałować sobie podobne gmachy.

Taka jest wszechwładza tej płoczej i lekkomyślnej władczyni, rządzonej przez chciwych i bardzo poważnie myślących ministrów.

Wyzwoli się z tej władzy świat kobiecy chyba wtedy, kiedy wszystkie bez wyjątku kobiety będą miały inne drogi powodzenia i inne ambicje, niż gnębienie rywalek nigdy dotąd niewidzianym krojem kłosa czy żaboty. Wtedy w niewolę Pani Mody i jej koronkowe sieci pójdą chyba, odsunięci od wszystkich istotnych spraw życiowych — mężczyźni. *Well.*

O PIELEGNOWANIU ROŚLIN POKOJOWYCH W ZIMIE

Aby zapewnić roślinom naszych mieszkań odpowiedne warunki rozwoju, winniśmy regulować wszelkie czynniki, od których ten rozwój zależy. Pielęgnowanie roślin w zimie różni się nieco od pielęgnowania w lecie, ponieważ nie chodzi nam tu o bujny wzrost rośliny, ale jedynie o przetrzymanie jej przez ten okres w stanie zdrowia.

Najważniejszym niemal warunkiem dobrego utrzymania roślin jest prawidłowe dostarczanie im wody. Warunek ten musi być spełniany zawsze, bez względu na porę roku.

Wskutek złego podlewania rośliny chorują, lub giną bezpowrotnie. Nadmiar bowiem wody, wprowadzonej do ziemi, bywa powodem gnicia korzeni, powietrze nie ma tam dostępu, ziemia kwaśnieje; niedostatek wody z drugiej strony też źle się odbija na ogólnym rozwoju, roślina więdnie i zamiera. Niektóre rośliny — jak azalie, rododendrony i kamelje — nie więdną nawet, ale na suchość ziemi reagują od razu przez zrzucanie pączków kwiatowych i liści.

Ziemia w doniczce powinna być zawsze umiarkowanie wilgotna. O utrzymanie tego stopnia wilgotności winniśmy przede wszystkim zabiegać. Rozpoznawanie suchości ziemi w doniczce po jaśniejszej lub ciem-

niejszej barwie wierzchniej warstwy nie jest miarodajne. Uciec się tu musimy raczej do zbadania głębszych warstw, przez zanurzenie palca w ziemi do 2, lub 3-ech cm. w głąb, albo przez uderzenie o zewnętrzną ścianę doniczki palcem, lub jakim twardym przedmiotem. Gdy ziemia wewnątrz jest wilgotna, t. j. zawiera względnie mało powietrza, odgłos będzie głuchy, mocny; w przeciwnym wypadku jest on jasny i przypomina uderzenie o puste naczynie.

Przy dostarczaniu roślinom wody unikać należy podlewania małemi dawkami, bo mała ilość wody zwilży tylko warstwę górną ziemi, a dolne, obejmujące większość korzeni, będą wilgoci pozbawione.

Z powyższego wynika, że podlewać rośliny powinniśmy wtedy, kiedy ziemia w doniczce jest prawie sucha, a czynić to tak, by woda przeniknęła nawszkroś całą bryłę ziemi. Naturalnie, w zimie wypadnie nam podlewać rośliny rzadziej, niż w lecie, ale to właśnie wypływa z ich wymagań. Roślina w zimie żyje mniej intensywnie, mniejsze też są jej zapotrzebowania. Woda do podlewania powinna mieć temperaturę pokojową, w niektórych wypadkach nawet korzystnie wpływa temperatura nieco wyższa.

Zbyt suche i ciepłe powietrze w pokoju w zimie i nieprawidłowe podlewanie sprzyja pojawianiu się licznych szkodników, z którymi przeprowadzać należy bardzo energiczną walkę. Najczęściej spotykamy tu mszycę (*Aphis*), która napastuje głównie młode pędy i liście, pozostawiając na nich lepka, błyszcząca powłokę. Usuwa my mszycę przez obmywanie rośliny słabym roztworem szarego mydła w wodzie, z dodatkiem odwaru tytoniowego (po upływie kilku godzin zmywamy roślinę ponownie — czystą wodą); można też napastowane miejsca okadzać dymem tytoniowym. Zabiegi te powtarzać należy kilkakrotnie, w krótkich odstępach czasu.

Przy zwalczaniu innych szkodników roślin pokojowych — jak wciornastka, czerwonego pajęczka i różnych tarczyców — postępujemy podobnie, stosując roztwór szarego mydła z odwarem tytoniowym.

Wciornastek czarny (*Thrips*) żeruje na dolnej stronie liści, a uwypatnia się w postaci podłużnych punkcików. Pod jego wpływem kurczą się liście, przestają dalej rosnać, co ma olbrzymi wpływ na rozwój całej rośliny. Czerwony pajęczek (*Acarus telarius*) ma barwę czerwono-rudą, a swem niszczyielskim działaniem mało różni się od poprzedniego. Tarczycy, czyli czerwce, żerują zarówno na liściach i łodygach. Tu zaleca się przede wszystkim usuwanie mechaniczne owadów, ponadto jeszcze obmywanie roztworem szarego mydła, jak to podano wyżej.

Chcąc posiadać rośliny zdrowe, winniśmy przede wszystkim zapobiegać pojawianiu się szkodników. Czynimy to właśnie przez racjonalne pielęgnowanie roślin, a więc utrzymywanie ich w czystości, prawidłowe podlewanie i dostarczanie roślinom możliwie dużych ilości światła i powietrza.

Inż.-ogr. Marja Nagaj'ówna.

Amatorkom kwiatów polecamy książkę p. t.

„Pędzenie roślin w pokoju“

która uczy, jak hodować rośliny cebulkowe.

Cena 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz”, Warszawa,
Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. 13.555.

ŁĘGI DROBIU

Wiosenny okres wylęgów jest bardzo ważny dla hodowli drobiu, i każda z pań-hodowczyń powinna w tym czasie nie szczędzić pracy i starań, jeśli chce mieć dobre rezultaty swej hodowli.

Przedewszystkiem dzisiaj już w wielu hodowlach posługują się inkubatorami, które wymagają b. umiejętnej obsługi. Sztuczne wylęgarki rozpowszechniają się dzięki swej ekonomiczności. Umożliwiają lęzenie kurcząt w każdej porze roku, a więc i wczesną wiosną, gdy kurczęta mają największą wartość. Obsługa jednej wylęgarki zabiera mniej czasu, niż kilku kwok, siedzących na jajach, a wychów dużej gromady kurcząt jest bezwzględnie ekonomiczniejszy, niż kilku małych stadek. Kurczęta, chowane bez kury, są przeciętnie zdrowsze, gdyż nie są narażone na okaleczenie przez kwokę, zarażenie się pasożytami, lub chorobę zakaźną. Okres wysiadywania jaj i wodzenia piskląt przez kurę powoduje przerwę w nieśności, a więc stratę jaj w każdej hodowli; jeśli zaś chowamy kury ras lekkich, to wogóle nie mamy dobrych nasadek.

Trzeba jednak przyznać, że zwykle wylęgarki systemów, dotychczas u nas rozpowszechnionych, dają mniejszy procent wylęgu, niż łąg naturalny.

W Ameryce i na zachodzie Europy hodowcy drobiu używają głównie wielkich „wylęgarni centralnych”, lub „mamuty”, które mieszczą kilka tysięcy sztuk jaj. Działanie tych wielkich wylęgarni jest o wiele sprawniejsze od małych aparatów. W Polsce dotychczas tylko te ostatnie są rozpowszechnione, gdyż niema jeszcze hodowli, któreby prowadziły łęgi na wielką skalę.

Używamy obecnie inkubatory najróżniejszych systemów. Wylęgarki wodne, bez stałego źródła ciepła, wychodzą już z użycia, zastępowane systemami ogrzewanymi lampą naftową lub elektrycznością. Te ostatnie są bezwzględnie najlepsze. Fabrykanci wylęgarek podają zawsze przepisy sposobu obchodzenia się z odnośnymi aparatami i należy koniecznie dokładnie zaznajomić się z mechanizmem aparatu, poznać go i wypróbować działalność wylęgarki, zanim przystąpimy do lęzenia kurcząt.

Jest rzeczą bardzo wskazaną, aby wyląg w jednej wylęgarni od początku do końca prowadziła ta sama osoba jednakoowo starannie. Prowadzenie wylęgu we wszystkich aparatach odbywa się według pewnych, zasadniczych wspólnych reguł.

Wylęgarkę należy umieścić w ubikacji przestronnej, w której łatwo utrzymać stałą temperaturę (zimą $+15^{\circ}\text{C}$.), oświetlonej tak, aby promienie słoneczne nie padały na inkubatory. Jeśli ustawiamy kilka wylęgarek, to jedna powinna być oddalona od drugiej o połowę; o taką samą odległość powinno się je zawsze odsuwać od ściany dla równomiernego dostępu powietrza. Wskazane jest ustawienie na balach lub na dywanie, aby zapobiec wstrząśnieniom podłogi. Jeśli mamy suchą i przewiewną piwnicę, będzie to bardzo odpowiednie miejsce do ustawienia wylęgarek.

W przeddzień włożenia jaj ogrzewamy inkubator do temperatury $39\frac{1}{4}^{\circ}\text{C}$. Uregulowanie i utrzymanie tej temperatury przez cały okres wylęgu jest najważniejszą rzeczą dla otrzymania dobrego wyniku.

Regulujemy temperaturę specjalnym aparatem, znajdującym się wewnątrz wylęgarki. Gdy jajka już są włożone, powinno się wystrzegać wszelkich wahań temperatury, jeśli jednak powstaną, należy im zapobiec przez otwieranie, lub zamykanie wietrzników, albo też odpowiednie przykręcanie lampy. Aparat, służący do regulowania ciepła, jeśli jest dobrze nastawiony i dobrze funkcjonuje, nie powinien być poruszany.

Sprawdzamy wysokość temperatury, odczytując ją przynajmniej cztery razy w ciągu dnia na termometrze, ustawionym lub położonym między jajkami.

Podniesienie się temperatury wyżej $39\frac{1}{4}^{\circ}\text{C}$. jest stosunkowo niebezpieczniejsze dla życia zarodków, niż obniżenie; w razie przegrzania wylęgarki, nie należy jej raptownie ochładzać, ale zwolna, stopniowo doprowadzić do przepisanej temperatury. Oprócz temperatury należy przestrzegać, aby wylęgarka była przewietrzana i zawierała potrzebną ilość wilgoci. Najlepiej jest oprócz termometru mieć w każdej wylęgarni hydrometr. Najkorzystniejszy przebieg lęgów jest przy wilgoci 40% przez 12 dni, a $50-60\%$ — od 12-go do 21-go dnia. Wilgoć w wylęgarni otrzymujemy, wstawiając do niej naczynie z wodą, a jeszcze lepiej — z gąbką, zanurzoną w wodzie.

Jaja, wkładane do wylęgarki, powinny odpowiadać wszystkim wymaganiom, stawianym jajom wylęgowym. Muszą być normalnego kształtu, normalnej wielkości, w gładkiej, niezbyt grubej, ani cienkiej skorupce. Nie należy kłaść jaj, zbieranych przez okres czasu dłuższy, niż 10 dni.

Kładąc jaja do wylęgarki, znaczymy je z jednej strony ołówkiem i przez pierwsze dwa dni pozostawiamy w spokoju. Zaraz po włożeniu chłodnych jaj, temperatura w wylęgarni na pewien krótki przeciąg czasu obniża się — nie należy jej podwyższać, gdyż później sama się podnosi do temperatury uregulowanej. Trzeciego dnia po włożeniu jaj zaczynamy je dwa razy na dobę przewracać i chłodzić, zawsze o tej samej godzinie i w równych odstępach czasu. Chłodzenie jaj polega na studzeniu ich przez kilka minut aż do temperatury pokojowej. Dla przewrócenia jaj wyjmujemy je wszystkie z wylęgarki wraz z szufladkami, czy półeczkami, na których są umieszczone. Jednocześnie sprawdzamy, czy jest jeszcze dostateczna ilość wody dla utrzymania wilgoci. Kładąc jaja zpowrotem, zmieniamy ich położenie w wylęgarni, tak, aby o ile np. wszystkie leżały powierzchnią zaznaczoną do góry, teraz znalazły się w odwrotnej pozycji. Przytem jajka, leżące z brzegu aparatu, przekładamy do środka.

Siódmego dnia, a po raz drugi czternastego, przeglądamy jaja, aby usunąć niezapłodnione lub z zamarłymi zarodkami. Od 12-go dnia, wskutek rozwoju zarodków w jajkach i intensywnego procesu oddychania, temperatura w wylęgarni podnosi się ponad $39\frac{1}{4}^{\circ}\text{C}$. i trzeba ją obniżyć. 19-go, 20-go i 21-go dnia jaj już nie przewracamy. Od chwili, gdy usłyszymy wyraźne pukanie wewnątrz jaj, lub zauważymy nakłute — wylęgarki nie powinno się otwierać.

Normalny wyląg powinien nastąpić 21-go dnia. W czasie wykluwania się piskląt wszelka pomoc jest zbyteczna, a nawet szkodliwa. Należy tylko otworzyć wentylatory, aby pisklęta się nie podusiły. Gdy większość już się wykluje, należy wylęgarkę otworzyć, pisklęta wyjąć i przenieść do suszarki.

Po przeprowadzeniu każdego lęgu należy wyłęgarkę starannie oczyścić i zdezynfekować przed następnym nałożeniem jaj.

Na zakończenie należy dodać, że w ten sam prawie sposób, w jaki przeprowadzamy wyląg kurcząt w inkubatorach, możemy ląć pisklęta innych gatunków ptactwa. Podkładanie gęsih jaj do wylęgarki jest rzadko stosowane, gdyż są one za duże do rozmiaru inkubatorów. Jeśli lęgniemy kacze jaja, należy utrzymywać tę samą temperaturę, ale znacznie większą wilgoć; w tym celu dwa razy dziennie skrapiamy je wodą o temperaturze pokojowej. Należy też pamiętać, że kacze jaja klują się 28-go dnia od włożenia, więc do dnia 25-go należy je obracać.

Perliczeta klują się 24-go, 26-go dnia, indyczęta — 26-go do 28-go dnia, w tych samych warunkach. co kurczaki.

Z. Prażmowska.



PANI I SŁUŻĄCA

Stosunek pań do służących, a raczej służących do pań jest kwestją niesłychanie aktualną, w wielu wypadkach bardzo bolesną i wymagającą jakiegoś rozstrzygnięcia, jeśli nie ostatecznego, to przynajmniej częściowego. Jakiegoś wskazania wyjścia z obecnych, niemożliwych warunków, dania czasu i możliwości innego układu tych stosunków w niedalekiej przyszłości.

My, w Polsce, nie możemy obywać się bez służby domowej, jak to robią kobiety inteligentne ze sfery średnio zamożnej w Ameryce, a nawet we Francji. Cały układ życia w Polsce jest taki, że najpracowitsza, najpraktyczniejsza gospodyni domu wszystkim pracom gospodarczym sama nie podoła. Nie mamy tych urządzeń, tych ułatwień, które mają kraje nowe — jak Ameryka, lub kraje o wysokiej kulturze — jak Francja. Może i u nas za jakie lat sto, może prędzej, wszystkie mieszkania będą tak urządzone, aby można było sprzątnąć je w godzinę, wszystkie kuchnie tak zbudowane, aby równie prędko można było ugotować posiłki, usunąć wszystkie śmiecie i resztki, nie biegając z kubelkiem po schodach. Może będziemy mieli — jeśli nie my, to nasze wnuki — wszędzie centralny opał, wszędzie światło elektryczne, wszędzie podłogi, pokryte łatwo czyszczącym się linoleum, dostawę produktów wprost do domów i t. p., i t. p.

A tymczasem proszę sobie wyobrazić panią domu, żonę pracującego poza domem męża i matkę kilkorga dzieci w różnym wieku, mieszkającą na czwartym lub piątym piętrze bez windy, któraby mogła wykonać sama, bez pomocy, następujące roboty.

Skoro świt, przynieść mleko i pieczywo; ugotować śniadanie, nakarmić każdego nieomal oddzielnie — męża, synów, córki — dać im porządnie opakowane drugie śniadanie; umyć naczynie; sprzątnąć cztery lub pięć pokoi, łazienkę (przyczem w pokojach są posadzki, które trzeba przetrzeć sukrem, a w kuchni i kurytarzach heblowane deski, które należy wyszorować z bielidłem); pójść do miasta po sprawunki, przynieść nie tylko mięso, jarzyny i owoce, lecz i ciężkie kartofle, kapustę i t. p.

Jeśli są zapasy tych produktów w piwnicy, to je przydźwigać na swoje wysokie piętro, wraz z węglem i drzewem na dzień cały; ponapalać w piecach, ugotować obiad, (nieraz w dwóch serjach, gdyż nie wszyscy mogą przyjść jednocześnie) i t. d., i t. d., aż do późnego wieczora, kiedy wszyscy pokładają się spać — wszyscy, tylko nie sama pani, gdyż ona właśnie wtedy zasiadzie do rachunków, do reperacji bielizny, do czyszczenia plam na ubraniach...

Francuzka, czy amerykanka znajdzie pieczywo i mleko przed drzwiami, ugotuje śniadanie na maszynie elektrycznej, sprzątnie swe małeńkie pięć czy sześć pokoi przedziutko zapomocą najnowszych narzędzi, bo to wszystko budowane i meblowane tak, aby jak najmniej robiło kłopotu. Produkta spożywcze przyniesie już tak przygotowane, że pozostaje tylko włożyć je do rondla lub na patelnię. Naczynie umyje w specjalnej maszynie. Nakarmi wszystkich — czy to śniadaniem, czy obiadem — jednocześnie, gdyż całe życie tam się układa jednakowo, wszyscy mają też same godziny zajęć i posiłków.

Jeżeli tak długo się nad temi różnicami w wykonywaniu prac rozpisalam, to li tylko dlatego, aby wykazać, że o ile brak służby we Francji lub w Ameryce nie daje się odczuwać, to obchodzenie się bez niej u nas rzadko gdzie i kiedy może być stosowane. A pisałam tylko o paniach, które cały dzień domowi poświęcić mogą — zupełnie nie wspominając o tych, najliczniejszych, które praca zarobkowa większą część dnia trzyma zdala od domu.

Tak, niestety! my jeszcze długie lata bez pomocy służby domowej obejść się nie będziemy mogli. Dla mnie jest kwestją zupełnie drugorzędną, czy taka wyręczycielka będzie się nazywała służącą, czy pomocnicą domową, czy też nawet zastępczynią pani domu; czy będzie jadła w kuchni, czy — jak w Szwajcarii — razem ze swymi chlebobawcami siadała do stołu; czy będzie pracowała od świtu do nocy, czy też korzystała codziennie z kilku godzin wolnych na przechadzkę, lub przyjmowanie odwiedzin. To są kwestje, które się dadzą ułożyć i unormować za zobopólnem, zgodnem porozumieniem.

Kwestją najważniejszą jest to, skąd mamy brać takie służące, które byłyby rzeczywistą pomocą pani; które w godzinach, kiedy ta ostatnia pracuje w biurze, potrafiłyby zastąpić ją przy gospodarstwie i przy dzieciach; takie, na których sumienności, uczciwości, no i umiejętności można byłoby polegać.

Nie ludźmy się, że do wykształcenia takiej służby przyczynią się szkoły. Szkół takich, specjalnych, niema, i wcale się nie zanosz na to, żeby zostały otwarte. Szkoły powszechne, ogólnokształcące, przygotowują przeważnie najgorszy i najnieszczęśliwszy element — półinteligencję o ogromnych aspiracjach i wyraźnej niechęci do pospolitej pracy, za jaką uważają zajęcie służące.

Tymczasem, jeśli się dobrze rozpatrzymy w stosunkach, u nas panujących, to się przekonamy, że właśnie służące domowe stanowią klasę materialnie uprzywilejowaną pomiędzy kobietami zarobkującymi.

Przeciętna urzędniczka prywatna, ze średnim wykształceniem, umiejętnością pisaną na maszynie, znajomością jednego lub dwóch obcych języków — zarobi miesięcznie 150 do 200 złotych. Z tego musi opłacić mieszkanie, utrzymanie, ubrać się przyzwoicie, no i zaspokoić chociażby minimum potrzeb kulturalnych — bodaj zaabonować książki w czytelnicy, jakąś

choć jedną gazetę, pójść czasem na koncert lub do kina (o teatrze nie śmie marzyć). Służąca do wszystkiego ma mieszkanie, opał, światło i opranie. Jada, jeśli nie lepiej, to więcej, niż sami państwo. Tytułem „Gwiazdki” dostaje zwykle sporo ubrania. Co niedzielę i święto od jakiejś trzeciej czy czwartej jest zupełnie swobodna. Codziennie ma kilka godzin spoczynku pomiędzy obiadem, a kolacją; często może korzystać w tych godzinach z przechadzki, lub odwiedzić znajomych, albo sama ich przyjmować. Do tego wszystkiego ma pensję, wynoszącą, zależnie od uzdolnień, od 40 do 100 złotych, i częste napiwki. Pensja i napiwki idą na ubranie i rozrywki. Chciałabym widzieć skromną urzędniczkę, któraby taką sumą na ubranie i rozrywki rozporządzać mogła!

Niechże więc ta nasza pomocnica ma to wszystko, niech ma jeszcze znacznie więcej, lecz niech nam za to daje jakiś ekwiwalent. Niech będzie rzeczywistą pomocnicą i wyręczycielką, niech będzie tem, czem była dawna służba: oddanym przyjacielem, członkiem rodziny nieomal.

Prawie cała służba powojenna rekrutuje się z dziewcząt, świeżo ze wsi przybyłych, wprost od wiedeń i cebra. Nie umieją one nic, a nauczyć się mogą tylko tyle, ile im na nowem miejscu sama pani pokazać potrafi. Dobrze więc jest, jeśli trafią na taką panią, która sama cośkolwiek umie, i na taki dom, gdzie panuje jakiś ład i porządek. W bardzo wielu wypadkach taka Marysia czy Kasia uczy się tylko używać pudru i szminki, strzyć sobie włosy „à la garçonne”, zaczyna nosić cieliste, jedwabne pończochy i, jako osoba, już obznajomiona z miastowemi obyczajami, żąda podwyższenia pensji — po odmowie, porzuca posadę i przechodzi na inną.

Po kilku takich zmianach umie sprzątnąć środek pokoju (w kąty zagląda dwa razy do roku, przy „wielkich porządkach”), posłać jako tako łóżka (pościeli nigdy nie trzepie, ani nie wietrzy), ugotować dwie, trzy wodniste zupy, zrobić kotlety, pieczeń, stałe przydymioną, i przynieść ciastka z cukierni, bo na leguminę nigdy czasu nie ma. Natomiast jest zaprzyjaźniona ze wszystkimi służącymi w całym domu (jeszcze gorzej, jeśli jest z niemi pokłócona), godzinami konwersuje pod bramą, w sklepiu lub u maglarki. Z bielizną państwa obchodzi się równie po barbarzyńsku, jak za czasów, kiedy swoją na stawie kijanką pierała.

Otóż staje przed nami dylemat: w jaki sposób z tych Kaś i Maryś, narazie zwykle najlepszymi chęciami napełnionych, zrobić dobre, pożyteczne pracownice?

Szkoły specjalne? Jakiej olbrzymiej ilości ich trzeba! Kto je założy, kto poprowadzi?! Te parę szkół, które już istnieją, nie uczą całokształtu prac domowych, przeważnie tylko gotowania. A ponieważ są połączone z tanimi jadłodajniami, gotowanie to nie jest zbyt smaczne. Gotując całe kotły, te mało inteligentne kobiety zupełnie nie umieją się potem zastosować do ilości, potrzebnych w przeciętnej rodzinie.

A jakie szalone wymagania ma potem taka, jedna z nielicznych, która tę szkołę ukończyła! Sto, sto pięćdziesiąt złotych pensji — kiedy cały budżet rodziny wyższego urzędnika, lub wojskowego wynosi 600—700 złotych; oddzielny pokój — kiedy większość inteligentów z całą rodziną w dwóch pokojach z kuchnią się mieści; taka pani nie pije kawy zbożowej, nie

jada zup mięsnych, nie chce do chleba masła niemiętanekowego — jednym słowem, luksus — nie służąca.

Praktyczne Niemki kwestję nauczania służby, równie u nich ostrą, rozstrzygnęły w taki sposób: dobre gospodynie biorą do siebie młode, przyjezdne ze wsi dziewczyny bezpłatnie na naukę. Wprawdzie utrzymanie służącej znacznie więcej wynosi, niż przeciętna jej pensja, przy niedużych jednak budżetach i taka oszczędność kilkudziesięciu marek gra rolę poważną. Młoda dziewczyna od razu się uczy porządnego sprzątać, prać i gotować, chodzi z panią po zakupy, robi co wieczór rachunek z całego dnia. Po kilku miesiącach — wcześniej lub później, zależnie od uzdolnienia uczennicy — dostaje świadectwo i przenosi się na inną, już płatną posadę, a jej była pani bierze sobie nową elewkę.

Nie każda gospodyni ma prawo wychowywania takich służących. Aby to prawo mieć, należy samej zdać szczegółowy egzamin przy jednym z gospodarczych związków kobiecych „Hausfrauenverein”. Jednak takich gospodyń są w Niemczech tysiące, i pomimo licznych, tam istniejących szkół zawodowych dla służby, ten sposób szkolenia służby domowej jest tam bardzo rozpowszechniony.

Może i u nas coś podobnego z czasem się rozwinie. Wszak i teraz wiejskie dziewczyny na pierwszym miejscu przechodzą jakby szkołę — tylko ta szkoła jest przeważnie zła i uczy nie tego, czego potrzebują. O organizacji tego rodzaju nauki dla służby nieraz już była mowa w Kole Studjów Gospodarstwa Domowego, którego jednym z celów jest praca nad wydoskonaleniem służby domowej i unormowaniem stosunków między pracującymi i pracodawcami.

Koło to zamierza w najbliższym czasie zorganizować cykl odczytów w celu zaznajamiania służących z ich obowiązkami, podniesienia ich poziomu umysłowego, rozwinięcia ich etyki. Daj Boże, aby ta piękna myśl, to obywatelskie poczynanie, jaknajlepiej przyniosło owoce!

Pani Elżbieta



SLEDZIE W POMIDOROWYM SOSIE.

Sledzie świeże (niesolone) oczyścić, jak zwykle, odciąć im łby i ogony, osolić lekko, potrzymać tak z godzinę, poczem utarzać w mące i usmażyć na maśle roślinnem lub na szmalcu. Zanim ostygną, zdjąć z ości, starannie usuwając nawet najdrobniejsze. Pokrajać na ładne, równe części (cztery do sześciu kawałków z jednego śledzia). Na kilo śledzi (4 do 6 sztuk) wziąć trzy łyżki oliwy, szklankę dobrej konserwy pomidorowej i duścić wolno na ogniu przez kwadrans, lub nieco dłużej. Łyżkę maki rozbić w szklance wody, zmieszanej po połowie z octem, wlać to w pomidory, zagotować parę razy, osolić, trochę popieprzyć. Sosem tym zalać ułożone na salaterce dzwonka śledzi. Podawać dopiero we 24 godziny po zaprawieniu. Jeszcze smaczniejszą będzie ta marynata, jeśli z pomidorami udusimy dwie spore cebule; w ostatnim razie należy sos przed zaprawieniem mąką przefasować przez sito.

MOSTEK CIEŁĘCY NADZIEWANY

(na żądanie czytelniczki)

Ładny, tłusty i biały mostek wymoczyć przez godzin parę. Zrobić przez całą jego długość otwór, oddzielając górną warstwę mięsa od dolnej przy kości. Na dwukilowy mostek zrobić nadzienie następujące. Dziesięć deka masła utrzeć na śmietaną, wbić całe, duże jajko, dodać dziesięć deka tartej bułeczki, sporą garść zielonego lub suszonego koperku i pietruszeczki, osolić do smaku, dodać odrobinę białego pieprzu, wlać filiżankę rosółu, mleka lub wody, aby farsz się nie rozsypywał przy krąceniu. Napelnić tem mostek, starannie zaszyć otwór. Mostek po wierzchu osolić, posmarować masłem i piec, jak zwykłą pieczeń cielecą, często polewając masłem z paru łyżkami wody. Podając, pokrajać według kostek i podać, jak kurczętą, z garniturem z młodych kartofelków, groszku, karotki, brukselki, lub innych jarzyn. Oddzielnie podać latem zieloną salatkę ze śmietaną, zimą — czerwoną kapustę lub borówki.

LEGUMINA Z CZARNEGO CHLEBA.

Utrzeć na tarce trzydzieści deka czerstwego, razowego chleba. Obrać i pokrajać w talarki lub kostkę pół kilo jabłek kwaskowych — antonówek lub renet; przygotować piętnaście deka płynnego miodu (jeśli scukrowany, rozpuścić na ogniu i ostudzić). Foremkę ogniotrwałą lub metalowy półmisek posmarować grubo masłem. Nasypać warstwę chleba, pokryć jabłkami i skropić miodem. Powtarzać to, aż wszystko wyjdzie. Górna warstwa powinna być z chleba. Na samym wierzchu ułożyć małe kawałeczki masła i posypać leguminą cukrem. Wstawić na godzinę do niezbyt gorącego pieca. Podawać w tem samem naczyniu, do tego zimne mleko lub śmietankę.

LODY KARMELOWE.

Dziesięć deka cukru (kryształu) wsypać na patelnię, skropić łyżeczką wody i postawić na blachę, aby się zrumienił (nie spalił). Gdy karmel ma kolor ciemno-żółty i kipi, dolać ostrożnie (bardzo pryska) parę łyżek wody i mieszać drewnianą łyżką (metalowa się stopi), aż się karmel rozpuści. Zlać go do filiżanki, aby ostygł. Litr mleka zagotować z kawałkiem wanilii. Sześć żółtek utrzeć z dwudziestu pięcioma (do trzydziestu) deka cukru do białości, rozprzecznić mlekiem, dolewając po łyżce do miski, gdzie się ucierało cukier, poczem ogrzewać w rondlu, ciągle mieszając, aż masa się zaciągnie (zacznie gęstnieć, jak sos). Uważać, aby się nie zagotowała, gdyż żółtka się zwarzą. Odstawić, wlać karmel, wymieszać i zastudzić. Zamrażać, jak zwykle. Gdy lody mają konsystencję kaszki, dodać do nich trzy białka i kręcić dalej. Gdy zgęstnieją, wyjąć łopatką z maszynki, łyżką doskonale wymieszać lody i ucisnąć, aby nie było pustych miejsc. Kręcić jeszcze minut dziesięć, poczem obsypać puszkę lodem z solą i pozostawić w spokoju na dobrą godzinę. Tak ukręcone lody dadzą się wyrzucić w całości na półmisek.

Pani Elżbieta.

DODRE RADY

Nie należy gotować pulard na potrawę razem z wołowym mięsem, nigdy bowiem nie będą białe. Oczyszczoną należycie kurę włożyć w naczynie gliniane, polewane, używane tylko do rosółu, lub w aluminowy kociołek, zalać wodą, zagotować, wyszumać starannie, dodać włoszczyznę bez korzeni i gotować na małym ogniu, nakrywszy rondel białym papierem, aż pularda będzie dostatecznie miękka.

* * *

Dla nadania rosółowi niezbędnej słodyczy kładzie się weń włoszczyznę i upieczoną na rumiano cebulę, która dodaje mu także koloru. Kto chce mieć rosół ciemniejszy, niech włoży w czasie gotowania ćwiartkę ćwikłowego, egipskiego buraka. Pomimo słodyczy, nadanej przez jarzyny, wiele osób po scedzeniu rosółu wysypuje łyżeczkę od czarnej kawy cukru (na sześć osób), trzeba jednak użyć kryształu, a nie pudru, obecnie bowiem fabrykowany nie jest czysty i daje mało smaku, a robi rosół mętnym.

Dn. 9 lutego o godz. 12-ej w południe w kinie „Splendid” w Galerji Luxemburga wyświetlany będzie wspaniały obraz „Dzika orchidea” z Gretą Garbo. Nad program dodany będzie film, ilustrujący życie w obozach przysposobienia wojskowego dla kobiet. Dochód przeznaczony na świetlice „Koła Polek” dla dziewcząt pracujących.

Ładny cel i chęć ujrzenia wspaniałego obrazu niechaj zachęci Czytelniczki, mieszkające w Warszawie, do wybrania się w dniu tym do kina „Splendid”.

Bilety do nabycia przy wejściu po cenach niższych.

Dla pań, szukających pracy.

Jeżeli która z Pań szuka pracy, a posiada zdolności akwizytorki i może wykazać się referencjami, lub złożyć niewielką kaucję, zapewni sobie stały zarobek przez zbieranie prenumeraty pism, przez Tow. Wyd. „Bluszcz” wydawanych, a mianowicie: „Bluszczu”, „Kobiety w Świecie i w Domu”, „Dziecka i Matki”, „Wiek Szkolnego”, „Życia Praktycznego”, „Modnych Robót Kobięcych”, oraz przez sprzedaż książek z zakresu gospodarstwa kobiecego. Pisemne oferty nadsyłać do Redakcji „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr. Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18

Nasza Mównica

Jeszcze z powodu „odwrotnej strony medalu” (w odpowiedzi p. Mossoczowej).

Kiedym przeczytała refleksje p. M. z racji mego artykułu „O pracy społecznej słów kilka”, w którym to artykule poruszyłam sprawę pewnej, że tak powiem, obłądy, pewnego zakłamania ze strony tych działaczek, które wygłaszają szumne referaty, piastują niezliczoną ilość stanowisk w całym szeregu instytucyj, opiek etc., ale dla swej domowej i rodzinnej „instytucyj” nie mają nigdy czasu, kiedym przeczytała owe refleksje, z których wynika, że Sz. Autorka czuje się nietylko osobiście, ale i w imieniu kobiet, prawdziwie pracujących, boleśnie dotknięta, nie miałam narazie zamiaru odpowiadać.

Zdawało mi się, bowiem, że przeprowadziłam dość ostrą linię demarkacyjną między kobietami prawdziwie uspołecznionymi, a pseudo-społecznikami; zdawało mi się również, że przy dobrej woli doskonale można było aż nadto wyraźną tendencję mego artykułu zrozumieć, tembardziej, że panią Mossoczową do owych „prawdziwie pracujących kobiet” zaliczam oddawna.

I właśnie dlatego wydaje mi się, że wprost niepodobna zrozumieć takiego np. ogólnika w jej odpowiedzi: „przyczyna, że mało jest pracowniczek, leży w tem, iż zamiast przyuczać nasze kobiety do pracy społecznej, zamiast wpajać przekonanie, że każda bez wyjątku powinna choć godzinę tygodniowo poświęcić pracy społecznej, pokazuje się im odwrotną stronę medalu”.

Szanowna Pani! Przyczyna apatii społecznej naszych kobiet, ach! i całego zresztą społeczeństwa, leży zupełnie gdzieindziej, proszę nie przeceniać moich wpływów w tym względzie. Wyłowienie owych przyczyn wymagałoby specjalnego studjum, nietylko artykułu, i dlatego nie mogę przekonać Sz. Pani narazie, że artykuły w rodzaju mego nie są bynajmniej przyczyną owej straszliwej obojętności mas kobiecych w stosunku nietylko do spraw społecznych, ale i najistotniejszych, elementarnych, własnych spraw życiowych.

Tu nawet i „godzina, poświęcona tygodniowo pracy społecznej”, nie pomoże. Ach, i te słowa o tej godzinie to znowu ogólnik, na który nie znajduję odpowiedzi, bo z całej duszy nienawidzę owego „co łaska” w stosunku do czegokolwiek, a cóż dopiero, gdy mowa o pracy społecznej. W wyświetleńiu tego momentu wyręczyła mnie całkowicie p. Mościcka, która znakomicie zrozumiała, o co mi idzie, i tak cudownie dopowiedziała to wszystko, co w artykule moim zaznaczyłam tylko. Dałoby się to streścić w słowach: „Co inksze złoto, a co inksze miedź”...

Doskonale również ujęła p. Mościcka problem społecznego stosunku do każdej pracy wogóle, stosunku, który stanowi przedewszystkiem o poziomie cywilizacji danego społeczeństwa. Społeczny stosunek do każdej pracy i do każdej sprawy... Nasuwają się miliony przykładów. O tem *a b c* społecznego instynktu, u nas, niestety, tak słabo rozwiniętego, napiszę kiedyś osobno.

Cieszy mnie jednak, że na początku swej odpowiedzi pani Mossoczowa umieszcza takie zdanie: „Pani Janina Strzelecka poruszyła wielką i ważną bolączkę naszą...”. A więc? Skoro to jest bolączka, no, to należało o niej napisać, odsłonić; dlaczegoż tedy mój artykuł na „prawdziwie pracujących kobietach” przykre wywarł wrażenie?

I oto, zdaje mi się, że jedną z przyczyn owej inercji, owego powolnego biegu spraw w odwiecznym, starem korytku jest właśnie to przerażające „tabu”. Byłe nie zadrażnić, byłe nie dotknąć rany, plasterek na ropę i kropka. Takiego stanowiska też nie rozumiem i dlatego milczałam tak długo. Ponieważ dyskusja na temat mego artykułu się rozszerza (chwała Bogu!), odpowiedzią pani Mossoczowej rozpoczynam cykl dalszych odpowiedzi i artykułów w tej sprawie.

J. Strzelecka. — Warszawa.

Nowa placówka w Brasławiu.

W Brasławiu, w województwie wileńskim, tuż nad granicą litewską otwarte zostało przedszkole „Rodziny Policyjnej”. Organizatorką przedszkola jest żona miejscowego komendanta powiatowego, p. Senkowa. Najmłodsi członkowie naszej „Rodziny Policyjnej” czują się doskonale pod opieką fachowych sił wychowawczych.

Z. W. — Brasław.



Dzieci policji w Brasławiu.

Bronić, nie potępiać (W odpowiedzi p. Krawczyńskiej).

Nie dlatego zabieram głos, aby „zgodzić się ze zdaniem przedmówcy“, w tym wypadku z p. Krawczyńską, która doskonale ujęła całą tę kwestję, ale, aby poprzeć opinię kobiet w sprawie zrównania praw matki niezamężnej i otoczenia jej, nieszczęśliwej (jeżeli nawet odrzucimy litość, to jednak ona tak się czuje) i jej dziecka bez rodziny, opieką i staraniem.

Bo dość już krzywdy ponosi opuszczona dziewczyna-matka, pozbawiona naturalnego oparcia o męża, jeszcze pseudo-moralność opinii pcha ją, jakże często, nieszczęsną do zbrodni.

Znam wypadek śmierci szesnastoletniej dziewczyny, której powodem były... języki sąsiadek.

W większości wypadków nie przez zdemoralizowanie, ale przez uczucie i ufność staje się kobieta ofiarą podłości męskiej, i wtedy my, kobiety, zamiast współczuć i pomóc, a potępić nikczemnego osobnika, rzucamy kamieniem na jej macierzyństwo.

Naprawdę, że dławi człowieka w gardle, gdy myśli o tych niedolach.

Bo nie o tolerowanie wolnej miłości chodzi, uświadomiona kobieta nie pójdzie na lep ciepłych słówek, ale o te rzesze naiwnych dziewczyn, którym nikt nie wyjaśnia, że to poprostu „nie interes“. Bo natura taki ciężki haracz na nas nakłada, że lepiej zmysły trzymać na uwięzi, co nam tem łatwiej przychodzi, że jesteśmy mniej aktywne, nie znając siły rozbudzonych zmysłów. Tu musi nastąpić przebudowa opinii na bardziej sprawiedliwie ludzką, niż obecny system potępienia nieszczęsnych ofiar zmyślenia i nieodpowiedzialności męskiej.

Kobieca solidarność powinna przyjść do głosu. Trzeba bronić dotkniętych szaleńcami miłości przed zbyt ofiarnością i wczuwaniem się w tak zwane „rozterki i szarpania się męskie“. Zbyt to wielka cena i za szalone ryzyko.

I nigdy za jednorazowy błąd nie rzucać błotem.

Zresztą, czy te potępiane nie są może nieraz więcej w zgodzie z sumieniem, niż niejedna, ubezpieczona przed opinią stanowiskiem męża?... *Łodzianka.*

Niech żyje.

— Wstyd! — woła p. Szpyrkówna w swym artykule o współczesnej, „obowiązującej“ nas modzie, krytykuje ją z punktu zdrowia, wygody, budżetu i samowystarczalności gospodarczej. Godząc się, że zawsze i wszędzie powinniśmy popierać wszystko, co polskie, pozwolę sobie zrobić parę uwag o istocie tego „wstydu“ w stosunku do mody. Wstydę się, bo kto tworzy modę, której służymy, kobieta, malarz, czy krawiec?

Krawiec. Panowie Worth, Patou et Co., po ciemnym porozumieniu z przedstawicielami przemysłu bławatnego, ogłaszają „linję“ panującą. Tę linję rozwiązują w najrozmaitszych projektach artyści i, jak objawienie, przyjmuje ją kobieta.

Dlaczego? czy nie może być sama genialną krawczynią, krawcową? Ivette Guilbert projektuje sobie kostjumy; Łazarska bez konkurencji robi lałki; intar-

sja w tytułu to też nasz wynalazek: ale gdy chodzi o wyrocznię mody, to będzie nią zawsze nazwisko męskie.

I będziemy to tolerowały do czasu, aż my, matki, siostry, koleżanki, nauczymy kobiety szacunku dla kobiet. Zerwijmy z tem ciąglem umniejszaniem się i szukaniem autorytetów męskich. Kobieta z całą biernością i zadowoleniem uznaje wyższość męczyzny, solą w jej oku jest natomiast zależność od kobiet.

Czyżbyśmy też nie mogły powierzyć naszych głów kobietom, czy to koniecznie musi być Jan lub Ryszard, chociaż ma on tyle wspólnego z Antoinem, co bar pod Bawołem z Ritzem.

To są kwestje zasadnicze. Teraz czas na moją suknię: krótka, czy długa?

Skończyło się panowanie garsonki. Trykotowy komplet dobry jest tylko do zimowych sportów, o ileż miłsza, indywidualniejsza jest ta angielska, wełniana sukienka! Nie grozi nam już standaryzacja, a wszystko robiło się już takie jednakowe i nudne. Dlatego z radością witam po godz. 5-ej suknię długą, coraz dłuższą, im bliżej północy.

To trudno, każda kobieta, która bywa, musi mieć poza suknią domową, „urzędową“ suknię z rękawami wizytową i suknię rautową. Od jej sprytu będzie już zależało, aby tę sprawę rozwiązała najlepiej i w zgodzie ze skromnym budżetem. Nieumiejętność noszenia, lub tandeta w ubraniu spotyka się przy każdej modzie.

Czyż naprawdę miał się utrzymać na dłużej typ o tułowiu dziewczynki, czyż te krótkie szmatki zasługują na obronę?

Nie poruszam tu sprawy przyzwoitości, to zależy od gatunku kobiety: niektóre w kuszach sukienkach nie przesadzały w ich krótkości i dobrze wyglądały, niektórym i długa nie pomoże.

Mam wrażenie, iż większość z nas się zgodzi, aby sukienka domowa, na ulicę, do drogi i biura była krótka, zasłaniająca jednak kolana, natomiast strój wieczorowy jest śliczny, o ile jest dłuższy. Z prawdziwą przyjemnością oglądam w tym karnawale sylwetkę wydłużoną, wyszlachetnioną w swej powłóczyściej linii. Powracamy w ten sposób do naturalnej linii figury, która piękny swój wyraz miała w empirze; dlaczegóż już mamy się obawiać przesady tiurniur, czy osowatych w pasie krynolin.

Dlatego, że chcemy być mądrzejsze od naszych babek? Nie widzę racji, abyśmy się miały oszpecać i upodabniać do cyrkówek. Bo jednakże ten typ dominował w ubiegłych latach, a typ wołyżerek (kłoszowy płaszcz od bioder i czarny lakier kaloszy do kolan) przeważa na ulicy. Co kto woli. Ja szukam linii i wdzięku, szlachetnych postaci. A że ta linja zdobywa się przy pomocy gorsetu, to trudno, będziemy go używały do czasu, aż racjonalne odżywianie i sporty wzmocnią zwiótczałe mięśnie.

Niech więc żyją długie, śliczne suknie i wszystkie zmiany na lepsze i ładniejsze! A przede wszystkim chciałabym powitać i poddać się wyroczniom rodzaju żeńskiego, a więc paniom, a nie panom.

m. m. — Warszawa.

„Mieć czy nie mieć?” (W odpowiedzi p. Zofji Dzieciolowskiej-Brykalskiej).

Na pytanie: mieć, czy nie mieć?, rzucone przez p. Dzieciolowską-Brykalską, odpowiem, jak napewno większość kobiet, że trzeba mieć dzieci. Wszystkie powody, przytoczone przez Szanowną Autorkę artykułu, aby nie wyrzekać się dobrowolnie macierzyństwa, są jak najsluszniejsze, jak również twierdzenie, że system jednego dziecka nie jest dobry. Należałoby życzyć, aby ów artykuł, jak również polemika, którą on napewno wywoła w „Naszej Mównicy”, przyczyniły się do owego „pomyślenia” przed decyzją.

Sądzę, że tempo dzisiejszego życia wpływa bezsprzecznie na „prąd dobrowolnej bezdzietności”, bo dziewięciomiesięczny okres oczekiwania przeraża długością. Decydując się na dziecko, kobieta musi myśleć, czy ono będzie mogło mieć byt zapewniony. Sama należę do matek jednego dziecka i przyznaję się, że żałuję, iż mój mały wychowuje się sam. I ja byłam jedynaczką, a w domu było mi zawsze dobrze, zdawało mi się więc, że memu dziecku będzie także dobrze. Okazało się inaczej, bo, w przeciwieństwie do mnie, która byłam zawsze spokojna i poważna, mały jest szalenie żywy, rwie się do dzieci i odczuwa brak ich towarzystwa.

Uważam, że krzywdę robi się dziecku, nie dając mu rodzeństwa. Doświadczenie własne uczy, lecz mnie zapóźno, bo jeśli chodzi o dobro dzieci, czteroletnia różnica między rodzeństwem jest zaduża.

A więc matki, które mają jedno dziecko, powinny stanowczo postarać się o drugie, póki pierwsze jeszcze małe, by dzieci mogły się razem wychowywać.
M. Orlomska z Poznanskiego.

Jak zapobiec marnowaniu grosza przez służące.

Za bardzo ważną sprawę, uważam wpływanie na służące i młode dziewczęta, by nie marnowały ciężko zapracowanego grosza na zbytkowne suknie, stroje i fatalaszki.

Często da się zauważyć, że służąca, widząc coś nowego u swej pani, w krótkim czasie nabywa rzecz podobną, lub identyczną. Praca jej nie jest sumienna, gdyż umysł zaprzątnięty tylko strojem. Strój zbytkowny i zwykle niepraktyczny prowadzi ją często do nieuczciwości, oszukaństwa (koszykowe), lub innych nadużyć.

Jak temu zaradzić? Sądzę, że tu przykład pani domu mógłby wiele zdziałać, lecz trudno znowu wymagać, by gospodyni była zmuszona wyrzekać się stroju, zwłaszcza, gdy ją stać na to.

Przychodzi mi na myśl kilka projektów, z których podaję trzy, lecz czy będą dobre, nie wiem; może odpowiedzą łaskawie Szanowne Czytelniczki. Oto przy przyjmowaniu nowej służącej, pani domu zapowie kategorycznie, że zabrania zbytkownego ubierania się, żąda natomiast schludności w skromnym ubraniu i czystości. Może też byłoby dobre zachę-

cenie przy placeniu pensji do składania pewnej kwoty do Kasy Oszczędności. Lub może jeszcze lepiej wysłać do Związku sług projekt, by Związek wniósł do swych ustaw nowelę, wzbraniającą służącym marnowania grosza na zbytkowne gałganki.

Sądzę, że myśl moja będzie należycie zrozumiana, chodzi o to, że taka dziewczyna, służąc lat wiele, nie posiada, wychodząc zamaż, grosza na początek i tworzy się nowa nędza.

Cieszyłabym się bardzo, gdyby Szanowne Czytelniczki uznały tę sprawę za ważną i zechciały wypowiedzieć się na ten temat. *L. R. — Poniec/Lesno.*

Co sądzić o nieślubnym macierzyństwie (w odpowiedzi p. J. Krawczyńskiej.)

Z wielką ciekawością obserwuję omawianą kwestję macierzyństwa w „Naszej Mównicy”. Jak każda kwestja, tak i macierzyństwo, rozpatrywane z różnych punktów widzenia, daje różne obrazy.

Naturalnie, że czasem matka nieślubna jest trośkliwsza dla swego dziecięcia, choćby dlatego, że obowiązek wychowania spada na jej wyłącznie barki. Jeżeli jest dość silna, by przeciwstawić się przeciwnościom opinii i walce o byt, przez to samo zasługuje na szacunek. Natomiast bywają matki legalne, których dzieci już od kolebki są na łasce służby. A ileż legalnych dzieci ze sfer robotniczych wychowuje ulica! Ale takie wyjątki niczego jeszcze nie dowodzą.

Faktem jest, że macierzyństwo, jako takie, przez sam cud dania życia nowemu człowiekowi, w żadnym wypadku nie może być niemoralne.

Inna kwestja, że trzeba tak wychowywać przyszłe matki, by sobie zdawały sprawę z dostojeństwa i obowiązków macierzyństwa. Nie można więc pozbawiać macierzyństwu nieślubnemu, gdyż warunki wychowania tych dzieci są zwykle takie, że nie mogą dać przeciętnie wartościowych ludzi. Widzimy, że kobieta, nie mająca pewnych warunków wychowania dziecka, wyrządza mu krzywdę, powołując je do życia.

Celem życia człowieka jest odradzanie się w miłości, ale czyż te setki dziewcząt, którym dziecko często jest ciężarem, myślały w danej chwili o odrodzeniu się? Czem więc była ich miłość, czy nie rozpustą? Nie można więc godzić się, by człowiek szedł za prądem swych zmysłów, którym dał imię miłość. Człowiek jest panem stworzenia, niechże nauczy się opanować siebie.

Ponieważ wszystko zamykamy w ramy pewnej etyki, tak samo i macierzyństwo, nie pozostaje więc, jak wybrać drogę pośrednią. Matki nieślubnej nie potępiać, owszem, pomagać, gdy zachodzi tego potrzeba. Ale zasadą i dążeniem naszym winno być chowanie dzieci w atmosferze rodzinnej. Dziecko musi mieć ojca i matkę, jako naturalny dar natury, by mogło wyrosnąć na dobrego obywatela. Tem więcej, że ustrój państwa i stosunki socjalne wymagają przykładnych rodzin. Im więcej takich rodzin, tem silniejsza przyszłość kraju.

Róża Machówna—Poznań.